

# Antologia SF

Zajdel Janusz

Książka VI z Stalo się jutro



calibre 0.9.43

**STAŁO SIĘ JUTRO**

**(zbiór szósty)**

**SCAN-dal.prv.pl**

**JANUSZ A. ZAJDEL**

# ROBOT NR 3

Porządkując akta w archiwum Kosmopolu natrafiłem na starą wytartą teczkę, wypchaną mnóstwem protokołów i fotografii. Może i nie zwróciłbym na nią uwagi, gdyby nie to, że rzuciłem okiem do wnętrza i natrafiłem na słowo "Grawaks". To mi coś przypominało... Nie wiedziałem jednak, z czym powiązać to słowo. Dopiero po przejrzeniu kilku stron maszynopisu przypomniałem sobie, że słyszałem je kiedyś na wykładzie starego Barela, który swego czasu wykładał nam historię techniki. Instytut Kosmiki ukończyłem jednak na tyle dawno, aby zapomnieć, co to było. Zacząłem czytać. To już niestety taka moja nieuleczalna wada: kiedy robię porządki w starych szpargałach, kartotekach czy archiwach, wcześniej czy później natrafiam na coś tak bardzo absorbującego, że godzinami siedzę na podłodze wśród rozrzuconych skoroszytów, segregatorów i teczek, aż przeczytam wszystko od A do Z.

Tak stało się i w tym wypadku. Rozłożone na podłodze papiery zostały wrzucone byle jak do szaf, a ja usiadłem w fotelu z plikiem akt na kolanach.

Ranek zastał mnie wertującego pozółkłe ze starości karty. Ale trud się opłacił. W tezcze sygnowanej numerem GI35

33 z roku 1993 znalazłem materiały dotyczące jednej z najbardziej skomplikowanych spraw kryminalnych końca XX w.

Dziś, w roku 2105, ówczesne zagadnienia techniki mogą wydawać się śmieszne i naiwne.

Wówczas jednak, gdy technika lotów międzyplanetarnych wchodziła w fazę bujnego rozwoju, gdy nie umiano jeszcze budować rakiet fotonowych, a o prawie Karsena fizykom nie śniło się nawet, "Grawaks" był szczytem osiągnięć kosmotechniki. W tezcze z aktami znalazłem również odnośniki do taśmoteki i filmoteki. Nazajutrz, gnany ciekawością, odszukałem wszystkie taśmy i filmy.

Niektóre z nich były dość zniszczone, ale w ogólnych zarysach udało mi się odtworzyć przebieg wypadków. Odszukałem również roczniki ówczesnej prasy codziennej i kroniki filmowe. Cały ten

obszerny materiał złożył się na opowieść, którą chcę tu przedstawić.

Przygotowywana długo i starannie wyprawa na planetę Uran wywołała ogromne zainteresowanie nie tylko w świecie naukowym. Prasa i telewizja poświęcały wiele miejsca i czasu, aby przedstawić szerokiej publiczności wszystkich, którzy związani byli z ekspedycją. Kosmonautów było trzech: cybernetyk Vano, planetolog Mittin oraz dowódca wyprawy, kosmonawigator Gris. Oprócz nich na pokładzie był "Grawaks"...

Tu należy się czytelnikowi kilka słów wyjaśnienia. "Grawaks" w pełnym brzmieniu:

Grawitacyjny Automat Kontrolno-Sterujący - był to zespół urządzeń mających na celu zabezpieczenie wyprawy przed nieprzewidzianymi okolicznościami w czasie lotu.

Wynalazca i konstruktor tego urządzenia, inżynier Seye, zapewniał, że gdyby nawet kosmonauci przez cały czas spali, to "Grawaks" dowiozłby ich bezpiecznie na miejsce. Ale nie tylko o to chodziło. Wyprawa "Vegi" (tak nazywał się statek kosmiczny) była pierwszą ekspedycją o tak dalekim zasięgu.

W czasie drogi mogły zajść różne okoliczności, których nie sposób z góry przewidzieć.

Członkowie wyprawy rzeczywiście nie potrzebowali troszczyć się o kierowanie statkiem. Jedynym ich obowiązkiem było codzienne meldowanie "Grawaksowi", że wszystko jest w porządku i można kontynuować podróż. Miało to wyglądać mniej więcej tak:

Na pięć minut przed upływem każdej godziny "Grawaks" głośnym sygnałem akustycznym przypominał załodze, że ma otrzymać pozwolenie na dalszą podróż. Jeżeli na statku wszystko przebiegało normalnie, dyżurny kosmonauta naciskał odpowiedni klawisz w kabinie nawigacyjnej i "Grawaks" prowadził statek zgodnie z programem podróży przez następną godzinę.

W razie braku reakcji ze strony załogi "Grawaks" jeszcze raz upominał się o sygnał silnym dzwonkiem alarmowym, a w pięć minut po upływie pełnej godziny rozpoczynał samoczynnie manewr powrotu. Gdyby więc wszyscy pasażerowie "Vegi" stracili przytomność wskutek działania

nieprzewidzianych czynników nie było obawy, aby w takim stanie polecili dalej.

Działanie "Grawaksa" opierało się na najnowszej metodzie analizy pól grawitacyjnych (osiągnięcie katedry Kosmonawigacji, którą kierował sam inżynier Seye). Mówiąc prościej:

"Grawaks" z pomiaru grawitacji odczytywał swoje położenie względem wszystkich ciał Układu Słonecznego. Na tej zasadzie mógł on prowadzić statek po najkorzystniejszej krzywej, regulując pracę silników napędowych i sterujących.

W wypadku braku meldunku załogi lub awarii statku "Grawaks" przedsięwziął wszelkie środki zapobiegawcze kierując, o ile to było możliwe, statek z powrotem w rejon Ziemi. Seye zaręczał nawet, że "Grawaks" potrafiłby samodzielnie wprowadzić statek na ciasną orbitę stabilną wokół Ziemi.

Według zapewnień inżyniera Seye urządzenie miało działać "bez pudła".

Jeszcze kilka słów o wyposażeniu "Vegi".

Statek zawierał w swych ładowniach zapasy żywności syntetycznej dla załogi na okres podróży w obie strony i 4-miesięcznego pobytu w rejonie Urana. Jako pomoc przy badaniach służyć miały dwie rakiety zwiadowcze, 10 sond-automatów oraz około tysiąca robotów Rak-4. Znamy dobrze te poczciwe automaty...

W postaci wielokrotnie zmodyfikowanej i zminiaturyzowanej przetrwały do dziś pod nazwą Rak-411. Wówczas miały one rozmiary dorosłego człowieka, doskonałą pamięć ferromagnetyczną, zdolność do wykonywania skomplikowanych prac technicznych oraz dość słabo rozbudowaną zdolność analizy logicznej.

Miały one jeden podstawowy mankament: brak wewnętrznej samokontroli. Cybernetycy mówią: nie miały "wbudowanej etyki". Brak ten był uzasadniony trudnościami technicznymi i kosztami. Nad całym zespołem Raków czuwał jeden elektromózg, zmontowany na pojeździe posuwającym się wraz z automatami podczas prac terenowych. Mózg ten - jakby zbiorowe

"sumienie" zespołu automatów - kontrolował za pomocą zwrotnych impulsów radiowych ich czynności pod względem logiki i "przystojnego zachowania", a także wykluczał możliwość wyrządzenia szkody człowiekowi przez robota.

Rozkaz i polecenia odbierały Raki wyłącznie na falach radiowych. Ponadto każdy miał "indywidualność" w postaci kolejnego numeru, który stanowił wywoławczy sygnał dla danego automatu. Wszystkie Raki, z wyjątkiem czterech egzemplarzy, zmagazynowane były w ładowniach statku w stanie rozmontowanym. Chodziło o oszczędność miejsca. Te cztery miały wystarczyć dla potrzeb załogi w czasie podróży. Reszta miała być przez tę czwórkę zmontowana z części już na miejscu, na Uranie. To już chyba wszystko, co 'będzie nam potrzebne dla zrozumienia tego, co się stało w czerwcu 1993 roku...

Wbrew wszelkim zapewnieniom, po szesnastu dniach lotu "Vega" zawróciła. Dokładnie o godzinie 0.005 zaobserwowano największym radioteleskopem w kraterze Kopernika na Księżycu, że statek wykonuje manewr powrotny. Godzinę wcześniej "Vega" przestała odpowiadać na sygnały radiowe. To był cios... Cały ziemski sztab ekspedycji, z inżynierem Seyeem na czele, oczekiwał powrotu niefortunnej wyprawy.

Docent Jores, cybernetyk, który był jednym z kandydatów na kosmonautę (ubiegł go Vano), nie ukrywał zadowolenia.

Przed startem słyszano, jak mówił, że to on powinien polecieć i być może jeszcze poleci.

Złośliwi twierdzili, że inżynier Seye i tak osiągnął sukces: jego "Grawaks" nieomylnie prowadzi "Vege" z powrotem. Należy dodać, że w pewnych 'kołach krytycznie odnoszono się do wynalazku Seyeà, który niezbyt był lubiany w świecie naukowym za swoją pewność siebie.

Po dalszych dwóch tygodniach "Vege" przechwycił ratowniczy "Prometheus" i przyprowadził ją na orbitę ziemską, a stamtąd na kosmodrom "Sahara I". Tam oczekiwał już tłum dziennikarzy oraz cały sztab naukowy wyprawy.

Oto jak relacjonował powrót "Vegi" dziennikarz "Wiadomości Europejskich"

Już pierwszy rzut oka na "Vege" wyjaśniał, dlaczego nie odpowiadała ona na sygnały radiowe. Z wielkiej anteny kierunkowej pozostał tylko kikut podstawy. Z reszty, a więc z całego reflektora, nie zostało ani śladu.

Otwarto służę głównego wjazdu i wszyscy zmartwieli:

Z głębi statku wysypała się ze szczękiem i zgrzytem pulsująca bezładnym ruchem masa pogiętego metalu, w której z trudem można było rozpoznać szczątki pogruchotanych automatów Rak-4... Kilkanaście minut trwało torowanie drogi do wnętrza statku. Mniej lub bardziej zniszczone automaty wypełniały korytarz centralny, magazyny, sterownię... Wśród masy metalu, zdeptane i straszliwie zmasakrowane, tkwiły zwłoki cybernetyka Vano...

W ostatniej, rufowej kabynie mieszkalnej znaleziono zabarykadowanych pozostałych dwóch członków załogi. Na chwiejnych nogach wyszli na płytę lądowiska.

(Wiad. Europ. nr 189/1993 r.)

Śledztwo prowadził komisarz Wike przy udziale inspektora Merlocka. Oto fragmenty protokołu przesłuchań:

W i k e: - Czy może mi pan opisać możliwie dokładnie przebieg wypadków ?

G r i s: - Oczywiście. Od jakiego momentu mam rozpocząć?

W i k e: - Od chwili utraty łączności z Ziemią.

G r i s: - Tak, pamiętam. To była godzina 22.55, bo właśnie miałem dyżur przy "Grawaksie".

Wydałem polecenie dalszego lotu i w tym momencie usłyszeliśmy huk. Coś wstrząsnęło statkiem.

Poderwało nas na nogi. Mitin rzucił się do wskaźników ciśnienia. Jeśli to był meteor, to mógł uszkodzić powłokę. Rozumie pan, co to znaczy. "Grawaks", co prawda, skrzętnie omijał meteory, ale coś mogło się popsuć. Lecz wszystko było w porządku. Dopiero po chwili Mitin, chcąc jak zwykle nawiązać łączność z Ziemią, zorientował się, że radio milczy. Zapasowy odbiornik również nie

działał i doszliśmy wspólnie do wniosku" że coś uszkodziło antenę kierunkową.

Nie namyślając się dłużej wydałem radiowy rozkaz Rakowi, aby sprawdził na zewnątrz, co się stało. Wrócił po chwili meldując, że antena została zerwana. Montaż nowej anteny wymagał pracy większej ilości automatów. Wydałem więc polecenie tym czterem, które mieliśmy do dyspozycji, by zbudowały z części magazynowanych w ładowni dalszych osiem egzemplarzy na wzór własny i następnie udały się do pracy przy antenie. Swój program pracy miały przekazać one zrobionym przez siebie automatom...

I n s p e k t o r M e r l o c k: - Przepraszam, czy pan pamięta, jakimi słowami zwrócił się pan do automatów?

G r i s: - Pamiętam. Powiedziałem tak: "Raki, numer 1, 2, 3, 4. Zbudować każdy po dwa automaty na wzór własny. Udać się do pracy przy montażu anteny AR-72 według instrukcji 03 771. Własny program przekazać wykonanym przez siebie automatom".

M e r l o c k: - Jeszcze jedno pytanie. Czy przedtem już stosowano metodę montażu automatów przez inne automaty tego samego typu ?

G r i s: - Nie. O ile wiem, nie było potrzeby. Roboty Rak-I produkowane są przez wysoko specjalizowane maszyny automatyczne według instrukcji technicznej. Wychodzący z produkcji robot zostaje uruchomiony przez włączenie kontaktu, znajdującego się na płycie czołowej. W tym wypadku nie dysponowaliśmy żadnymi maszynami do montażu. Rak potrafi jednak zbudować zarówno według instrukcji, jak i według wzoru modelu urządzenie nawet bardziej skomplikowane niż on sam. Takie było zresztą założenie... Raki miały być montowane przez swych "współtowarzyszy" tam, na Uranie...

M e r l o c k: - Dziękuję.

V i k e: - Kolego Merlock, wszystko jest przecież jasne. Pan Gris wydał rozkaz w złej formie.

Każdy z Raków oznaczonych numerami od 1 do 4, po wykonaniu dwóch następnych przekazał im



swój program w całej rozciągłości, tzn. oprócz rozkazu wyjścia do pracy przy antenie otrzymały one również rozkaz wykonania dwóch następnych, te z kolei każdy po dwa itd. Ilość złożonych automatów narastała lawinowo.

G r i s: - Tak; tyle to już wiemy od dwóch tygodni. Ale niech pan posłucha dalej, komisarzu.

Gdy wydałem rozkaz automatom, Mitin wyszedł zobaczyć, jak im idzie ta robota ze składaniem nowych. Poza tym dyżur jego kończył się. Wyszedł korytarzem w kierunku rufy (sterownia mieściła się z przodu statku), a po chwili przyszedł Vano, aby objąć służbę w sterowni. Wiedział już o wszystkim od Mitina, którego spotkał w korytarzu przed wejściem do magazynu. Powiedziałem mu, że idę spać i aby natychmiast nawiązał łączność z Ziemią, gdy antena będzie naprawiona.

Poszedłem w kierunku rufy. W korytarzu minęły mnie trzy Raki, udające się z ładunkiem sprzętu w kierunku śluzy wjazdu, na przód statku. Minąłem uchylone drzwi magazynu, skąd dochodził charakterystyczny szczeł krzątających się automatów. Po chwili byłem już na miejscu.

Spojrzałem na zegarek - była 23.20, pamiętam dokładnie. Mitin na tapczanie spał z nosem w książce.

On ma bardzo twarde sen. Zabrałem książkę i wstawiłem na półkę. Potem położyłem się również.

Obudził mnie narastający, piekielny hałas, jakby ktoś przesypywał góry złomu żelaznego. W pierwszej chwili nie mogłem się zorientować, co to może być. Dopiero po kilku sekundach dotarło do mej świadomości, że hałas dochodzi z korytarza. Otworzyłem drzwi i cofnąłem się odruchowo.

Moim oczom ukazał się niesamowity obraz: tłum robotów, tratując i depcząc się wzajemnie,

parł w kierunku wjazdu. Śluza była zamknięta. Coraz to nowe Raki wychodziły z magazynu i z

bezmyślnym uporem cisnęły się do wyjścia. Zrozumiałem. Nie mogłem opanować wybuchu

głośnego śmiechu. Mitro dopiero teraz obudził się i nieprzytomnym, zaspanym wzrokiem patrzył w

głąb korytarza, a w jego oczach malowało się bezgraniczne przerażenie. Siniałem się, bo wydawało mi się komiczne, że tak prosty rozkaz mógł spowodować takie zamieszanie wśród robotów.

Wyszarpnąłem z kieszeni nadajnik i krzyknąłem: "Wszystkie roboty, stop!" Ku mojemu

przerażeniu nie wywołało to najmniejszego skutku... Powtórzyłem rozkaz. Znów żadnej reakcji.

Tłum robotów narastał coraz szybciej. Wypełniły już szczelnie przedni odcinek korytarza, gdzie znajdowały się drzwi sterowni. Drzwi te są dźwiękoszczelne ze względu na to, że w sterowni znajdują się urządzenia radiowe i każdy hałas utrudnia nasłuch. Dlatego Vano dotąd nic nie słyszał.

Teraz jednak wzmagający się hałas musiał dotrzeć do jego uszu, bo drzwi otwarły się nagle... I wtedy stało się nieszczęście. Roboty wtargnęły do sterowni, trując biednego Vano.

Teraz pojąłem, że na nic nie zdadzą się rozkazy radiowe. Roboty nie przyjmują informacji z zewnątrz. Gdyby tak nie było, kontrolny elektromózg nie dopuściłby do takiej sytuacji, zagrażającej bądź co bądź naszemu bezpieczeństwu.

Nie pozostało nic innego, jak zamknąć się w kabinie i czekać, co z tego wyniknie. O dostaniu się do sterowni nie było mowy.

O zatrzymaniu robotów również. Była godzina 23.50. Po pięciu minutach rozległ się sygnał "Grawaksa". Po dalszych dziesięciu uczuliśmy zmianę przyspieszenia. "Vega" hamowała. A więc "Grawaks" działał bez zarzutu. Całe szczęście, że był ukryty pod grubym pancerzem i roboty go nie zdemolowały. A jeśli żyjemy jeszcze i jesteśmy tu, na starej Ziemi, to zawdzięczamy to jedynie inżynierowi Seyeòwi.

M e r l o c k: - Kto był odpowiedzialny za przygotowanie zespołu automatów Rak-4?

G r i s: - Docent Jores był kierownikiem sekcji cybernetycznej. Na statku tymi sprawami zajmował się Vano.

W i k e: - Dziękujemy panu na razie. Jest pan wolny.

Zeznania drugiego ocalałego kosmonauty, Mitina, zgadzały się całkowicie z oświadczeniem Grisa. Potwierdził on, że wychodząc ze sterowni spotkał na korytarzu Vana, wymienił z nim kilka słów, potem wszedł do magazynu, skąd zaraz wyszedł, bo roboty pracowały sprawnie. Potem położył się w kabinie i zasnął z książką w ręku.

Oto odtworzona z taśmy magnetofonowej narada inspektora Merlocka z komisarzem

W i k e: - Sprawa jest jasna, inspektorze. Jores przed startem niedokładnie sprawdził elementy Raków. Miały one uszkodzenie w układzie odbioru informacji. Potem Gris wydał ten nieszczęsny rozkaz. Taką miał zresztą instrukcję... Tylko niepotrzebnie kazał "przekazać program" wyprodukowanym robotom. Stąd całe nieszczęście. Błąd w układzie odbiorczym powodował, że do robotów nie docierały ani rozkazy, ani impulsy kontrolne centralnego koordynatora. Miały one w pamięci tylko pierwotny rozkaz - wyjść na zewnątrz statku i reperować antenę. Bezkrytycznie usiłowały wykonać to polecenie. Skutki były tragiczne.

M e r l o c k: Kto zatwierdzał instrukcję postępowania z robotami Rak-4 na statku?

W i k e: - Zdaje się, że Seye, jako odpowiedzialny inżynier konstruktor statku. Teraz zbiera laury, które mu się zresztą słusznie należą. Gdyby nie "Grawaks"... Zresztą uważam sprawę za zamkniętą. Trudno tu kogoś czynić winnym. Wszystko opiera się na .tragicznym splocie okoliczności. Ten meteor, który zerwał antenę...

M e r l o c k: - Meteor, mówi pan? A ja oglądałem tę utraconą podstawę anteny i jeszcze sobie ją raz obejrzę, ale nieco inną metodą... Poza tym proponuję przesłuchać Seyeà.

W i k e: - Ależ, kolego Merlock, to nie jest potrzebne. Zresztą on jest w Australii na zjeździe naukowym.

M e r l o c k: - Niech go pan wezwie natychmiast, komisarzu. Jest mi bardzo potrzebny. Poza tym chciałbym jeszcze przesłuchać Joresa.

W i k e: - Po co? Chciałem wreszcie zakończyć tę sprawę. Nie mieszajmy w to powag naukowych. Dla mnie nie ma w tym nic, co mogłoby nas zainteresować, jako policję.

M e r l o c k: - Jednak niech pan wezwie obydwóch. Oprócz tego proszę wezwać wszystkich świadków i ekspertów. Jutro 0 16. Będę u pana. Wydaje mi się, że znalazłem coś rewelacyjnego. Jeszcze tylko jedno muszę sprawdzić.

Czy mamy tu gdzieś pod ręką czuły indykator promieniowania jądowego?... Jest w laboratorium? Więc zabieram go na godzinę. Na razie - do widzenia!

Ukryta w gabinecie komisarza Wikeà kamera filmowa zarejestrowała dokładnie na kilkuset metrach taśmy przebieg konfrontacji wszystkich osób związanych ze sprawą "Vegi".

Wyglądało to mniej więcej tak.

W gabinecie ustawiono krzesła. Umundurowany policjant wskazywał miejsca przybyłym.

Dokładnie o godz. 16 Wike i Merlock zajęli miejsca za biurkiem. Oprócz nich w pokoju znajdowali się: Gris, Mitin, Jores, Seye i kilku ekspertów, którzy badali uprzednio przyczyny fiaska wyprawy "Vegi". Merlock z tajemniczą miną zwrócił się do Wike'a:

- Panie komisarzu, pozwoliłem sobie przyprowadzić jeszcze jednego świadka, którego chciałbym przesłuchać w obecności zebranych tu osób. Sierzancie, proszę wprowadzić świadka.

Sierżant otworzył drzwi i ku ogólnemu zdumieniu zawołał: - Rak-3, wejść!

Robot wszedł i stanął niepewnie na środku pokoju. W ślad za nim wsunęły się jeszcze trzy identyczne automaty, oznaczone numerami 1, 2 i 4.

- Ten robot to jeden z czterech, które spowodowały całą tragedię. Traktujemy go na razie jako głównego oskarżonego. Tamte trzy - to duplikaty pozostałych, których nie udało się odnaleźć.

Prawdopodobnie oderwały się one od powierzchni kadłuba w chwili, gdy "Vega" rozpoczęła hamowanie. Ich przyssawki magnetyczne nie były obliczone na duże przyspieszenia. Jak nam wiadomo z zeznań Grisa, trzy automaty na pewno wyszły na zewnątrz. Patem widocznie mechanizm śluzy został uszkodzony przez napór następnych robotów i dzięki temu nie wszystkie wyszły na zewnątrz. Zresztą i tak śluza nie wypuszczała więcej niż 20 robotów równocześnie na zewnątrz statku. Ale wróćmy do rzeczy. Ten osobnik - tu wskazał robota - znaleziony został we wnętrzu rakiety. To pierwszy punkt oskarżenia.

Dlaczego nie usłuchał rozkazu? Oprócz tego robot ten był wyłączony. A u niego i wszystkich

pozostałych stwierdziłem brak połączenia anteny z układem odbioru informacji. To tłumaczy brak reakcji na rozkazy. Wystarczyło, aby cztery pierwsze roboty miały tę wadę. Wówczas wszystkie następne "dziedziczyły" ją po nich. Przecież były zrobione dokładnie na ich wzór. Jednak roboty przyjęły i wykonały rozkaz, co prawda zbyt gorliwie, ale wykonały. Stąd wniosek, że antena została odłączona u tych czterech robotów już po otrzymaniu przez nie rozkazu. Zatem bezpośrednim sprawcą tego, co się stało, nie mógł być nikt z zewnątrz. Niczyje niedopatrzenie nie wchodzi tu w grę. Gdyby roboty działały normalnie, to już pierwszy rozkaz Grisa osadziłby je na miejscu. Kto z pasażerów statku odłączył anteny po otrzymaniu rozkazu przez roboty, ale przed ukończeniem przez nie montażu ?

- Mógł to zrobić tylko Vano albo... Mitin - podsunął niepewnie Gris, a Mitin podskoczył na krześle:

- Co ty, oszalałeś ? Po co miałbym to robić ?

Seye i Jores spojrzeli na nich podejrzliwie, a Merlock spokojnie ciągnął dalej:

- Teoretycznie Mitin lub Vano mogli to zrobić, ale nie mieli powodu. Gris odpada z grona podejrzanych, bo nie ruszał się ze sterowni. Vano spotkał Mitina przed magazynem i nie wchodził do środka. Jeden Mitin tam zaglądał, ale i on -tego nie zrobił. Istnieje wprawdzie jedna możliwość: mógł

stracić ochotę do dalszej podróży... i chciał w ten sposób zawrócić ekspedycję. Ale sposób byłby ryzykowny. Zresztą teraz już wiem, że nie on to zrobił.

- A więc kto? - Seye dopytywał się niecierpliwie. Wszystkich pan już wykluczył!

- O, nie. Został jeszcze jeden, właśnie winowajca. Oto on! Merlock wskazał robota. - On to zrobił! A zrobił to na perfidny rozkaz kogoś, komu zależało na tym, aby ekspedycja wróciła z drogi!

"Uwaga Rak-3, zbudować trzy automaty na wzór własny!" - zawołał nagle Merlock.

Na ten rozkaz w oczach osłupiałych widzów robot nr 3 podbiegł do trzech pozostałych i wykonał na każdym identyczną manipulację: zerwał przewody łączące antenę z obwodem

wejściowym, a następnie, zrobiwszy to samo z własną anteną, przekręcił wyłącznik na swojej płycie czołowej i zamarł w bezruchu.

- To... niemożliwe! - Seye patrzył osłupiały, a oczy Joresa stały się jeszcze bardziej okrągłe.

- Zupełnie możliwe. Automat dostał instrukcję słowną tej treści: "Na rozkaz wykonania automatu na własny wzór dokonać następujących czynności: wyłączyć przewody antenowe automatów nr 1, 2, 4. Wyłączyć własny przewód antenowy i przekręcić własny wyłącznik główny".

Kto wydał taki rozkaz, tego niestety automat nam nie powie. Nie dlatego, aby miał słabą pamięć, bo elementy ferrytowe utrzymują informacje nawet po wyłączeniu obwodów elektrycznych. Jednak automat nie rozróżnia ludzi. Nie potrzebuje ich rozróżniać. Dobrze o tym wiedział nasz genialny uczonek - tu Merlock zrobił gest w kierunku Seyeà.

Inżynier poderwał się nerwowo z krzesła i jękając się z oburzenia wykrztusił

- Cóż to znowu za insynuacje? Jak pan śmie?! O co mnie pan posądza ?

- Spokojnie, panie inżynierze - odparował Merlock zdenerwowanie pogarsza tylko pańską sytuację. Zaraz dostarczę panu dowodów na poparcie moich twierdzeń.

Seye bezsilnie opadł na krzesło i wbił wzrok w jakiś punkt na ścianie nad głową inspektora.

Merlock rozpoczął tonem wykładowcy:

- Jak państwu zapewne wiadomo, nie ma przestępstwa bez motywu, jeśli oczywiście wykluczmy czyny szaleńców. Pod tym kątem rozpocząłem też moje badania. Zainteresowała mnie sprawa wynalazku inżyniera Seyeà. Rozmawiałem z jego najbliższymi współpracownikami.

Dowiedziałem się o kilku szczegółach, które umknęły uwagi ogółu, a zestawione razem rzucają nieco inne światło na całą sprawę. O ile mi wiadomo, inżynier Seye, jako konstruktor "Vegi", przeprowadził w przededniu odlotu inspekcję urządzeń. Miał to być ostatni przegląd przed startem.

Tego samego dnia zgłosił się do inżyniera Seyeà jeden z jego asystentów, fizyk-teoretyk.

Przedstawił on inżynierowi pewien rachunek, z którego wynikało, że zasada działania "Grawaksa"

opiera się na niezbyt pewnych podstawach matematycznych. Młody fizyk stwierdził, że wzór zasadniczy jest jedynie przybliżeniem pewnego Skomplikowanego szeregu funkcyjnego.

Przybliżenie to jest wystarczające dla niezbyt wielkich odległości od Słońca, ale zawodzi dla peryferii Układu Słonecznego. Inżynier Seye, znany z pewności siebie, niemal że wyśmiał asystenta i zbył go byle czym, odsyłając do jakichś skryptów. Jednak ów asystent przeliczył wszystko jeszcze raz i utwierdził się w swoim przekonaniu.

Sądzę, że inżynier Seye również zdał sobie sprawę z konsekwencji tego odkrycia. "Grawaks" w pewnej, niewielkiej stosunkowo odległości od Słońca mógł działać bez zarzutu, lecz w dalszych obszarach Układu Słonecznego mógł zawieść.

Merlock przerwał.

Seye siedziała bez ruchu, a pozostali patrzyli to na niego, to na inspektora.

- Całą noc Seye pracował nad planem, który miał uratować prestiż naukowca i wynalazcy.

Rano następnego dnia udał się z niewielkim pakunkiem na kosmodrom. Umieścił paczkę w pustej komorze wewnątrz wspornika anteny... Potem zajrzał do magazynu, gdzie porozmawiał chwilę z robotem nr 3. Potem wszystko odbyło się planowo. Co było w paczce - nietrudno się domyślić.

- Nie ma pan dowodów ! - zagrział Seye. - Jak pan śmie coś podobnego twierdzić?

- Chwileczkę. Dwie rzeczy pana zdradziły, panie inżynierze. Popełnił pan błąd. Sądził pan, że wśród tysiąca robotów nikt nie odnajdzie tego jednego, w którego pamięci utrwalony został pański rozkaz. Roboty miały wprowadzić dezorganizację na statku, co musiało spowodować tak czy inaczej zawrócenie go z drogi. A o to panu właśnie chodziło. Gdyby przed startem przyznał się pan, że w okolicach Urana „Grawaks” nie rda się na nic, pańska sława ucierpiałaby na tym ogromnie. Nie chciał pan ryzykować. Trzeba było zrobić coś, co zatrzymałoby ekspedycję nie z winy "Grawaksa" i w ogóle nie na skutek złego przygotowania "Vegi".

Aby jednak zmusić załogę do użycia dużej ilości robotów, musiał pan uszkodzić jakąś ważną

część statku. Antena nadawała się idealnie do tego celu. Wspornik główny był pusty wewnątrz i łatwo można było umieścić tam bombę zegarową, a poza tym urwanie anteny mogło być wytłumaczone uderzeniem meteoru.

To są tylko motywy - ciągnął Merlock po chwili przerwy a dowód zdobyłem wczoraj. Po pierwsze - znalazłem robota nr 3 tam, gdzie spodziewałem się go zastać, to jest w magazynie. Nie był on użyty do budowy następnych. Dlaczego ? Zaraz wyjaśnię. Został wyłączony...

- Panie Merlock - Seye przerwał, opanowany już i spokojny niech pan przestanie snuć tę bajkę moim kosztem. Dość tego. Skoro nawet wszystko byłoby tak ułożone, jak pan sugeruje, to skąd mogłem przewidzieć, że Gris wyda rozkaz w tak niefortunny sposób? Skąd mogłem wiedzieć, że powie on robotom: "Przekazać swój program wyprodukowanym przez siebie automatom". Gdyby powiedział na przykład "Przekazać program montażu anteny" lub coś w tym sensie, lawina zatrzymałaby się na drugim "pokoleniu" robotów.

- Zarówno pan, jak i ja doskonale wiemy - odparł Merlock że wcale nie stałoby się tak, jak pan twierdzi. Miałem o tym zresztą za chwilę powiedzieć, ale pan mi przerwał. Raki miały według zatwierdzonej instrukcji otrzymać rozkaz wykonania automatów na wzór siebie samych. Gdyby nawet nie dodawać ani słowa więcej, roboty mogłyby rozmnażać się tak długo, jak długo w magazynie starczyłoby materiału. Przecież "zbudować na wzór własny" znaczy dla robota "skopiować dokładnie" wszystko, co sam zawiera, a więc również własny program przelać na elementy pamięci robotów przez siebie zmontowanych. Właśnie dlatego robot nr 3 miał się wyłączyć po wykonaniu swego dywersyjnego zadania. Gdyby wyprodukował on dwa następne roboty i przekazał im to, co sam miał w swojej pamięci, a więc i pański rozkaz, to te z kolei przekazałyby to samo dalej; i w ten sposób w pamięci czwartej części robotów zawarte byłoby pańskie polecenie. Wtedy prawdopodobieństwo przypadkowego odnalezienia tej informacji w pamięci robotów wzrosłoby wielokrotnie, a to byłoby dla pana bardzo niewygodne. Niech pan się nie upiera, panie



inżynierze. Mam jeszcze jedno...

Merlock przerwał. Seye sięgnął dłonią do kieszeni i szybkim ruchem usiłował wsunąć coś w usta. W tej chwili Rak nr 3 chwycił błyskawicznie obie ręce inżyniera i przytrzymał je na wysokości ust. Z prawej dłoni Seye'a wypadła na podłogę maleńka szklana ampułka i pękła na posadzce.

- Wybacz mi pan, inżynierze, że użyłem przeciwko panu metody przez pana wymyślonej -

powiedział Merlock ze złośliwym uśmiechem. - Ten robot otrzymał ode mnie instrukcję:

"Gdy osoba siedząca na drugim krześle w pierwszym rzędzie, podniesie dłoń do ust, przytrzymaj jej ręce". Przypuszczałem, że się pan załamie, a innej możliwości samobójstwa oprócz cyjanku nie miał pan w tym pomieszczeniu. Pewnie pan nawet nie zauważył, kiedy ponownie uruchomiłem tego robota? Ale wywiązał się doskonale ze swego zadania, tak teraz, jak i wtedy. On się niczemu nie dziwi. Nie zastanawia się nad sensem ani celem otrzymanych rozkazów...

Na tym kończy się taśma filmowa. W tym miejscu kończą się również akta Kosmopolu. Po aresztowaniu Seyeà "Wiadomości Europejskie" zamieściły wywiad z inspektorem Merlockiem. Oto jego treść:

Znanego z niedawnej "Afery Vega" inspektora Kosmopolu, pana Merlocka, zastajemy w jego gabinecie.

P y t a n i e: Czy zechciałby pan wyjaśnić czytelnikom, jak przebiegało śledztwo w początkowej fazie, gdy nie rozporządzał pan jeszcze materiałem dowodowym?

O d p o w i e d ź: Podejrzenia moje zrodziły się niemal już w tej samej chwili, gdy zobaczyłem "Vegę" po jej sprowadzeniu na Ziemię. Zaintrygował mnie wygląd resztek zerwanej anteny kierunkowej. Widziałem wiele statków kosmicznych, uszkodzonych przez meteory, awarie stosów atomowych, zderzenia itp. W tym wypadku nie wyglądało to tak, jak należało się spodziewać.

P y t a n i e: A więc już wtedy podejrzewał pan sabotaż?

O d p o w i e d ź: O, nie, tego nie powiedziałem. Ale zabrałem się starannie do badania kadłuba "Vegi". Badając czułym indykatorem widmo promieniowania w okolicy podstawy anteny nie znalazłem wprawdzie produktów rozszczepienia, ale natrafiłem na ślady pewnego sztucznego izotopu promieniotwórczego, powstającego w wyniku ostrzeliwania neutronami jednego ze składników stali kadłuba.

Skąd wzięły się neutrony? Odpowiedź znalazłem po dłuższym wertowaniu tablic izotopów.

Ich źródłem mógł być np. izotop ameryku, rozszczepiający się samorzutnie i wysyłający - oprócz neutronów - cząstki alfa. Mógł .to być zresztą któryś inny transuranowiec. Seye miał pod ręką - na swoje nieszczęście tylko takie źródło, które - oprócz cząstek alfa, potrzebnych do napędzania zegara atomowego - wysyłało także neutrony. Zegar atomowy uległ zniszczeniu wraz z zapalnikiem bomby, lecz neutrony pozostawiły trwałą promieniotwórczy ślad w stali zniszczonej podstawy anteny.

p y t a n i e: Jak pan dociekł, że bezpośrednim wykonawcą planu Seye'a był robot nr 3?

O d p o w i e d ź: Pnecież wykluczone było, aby członek załogi działał na szkodę statku.

Musiał to zrobić robot. Wiedziałem, że należy o to posądząć jednego z pierwszej czwórki. Znalazłem robota nr 3, zbadałem jego zapis pamięciowy i wszystko stało się jasne. Potem wystarczyło tylko dokładnie zainscenizować konfrontację, pamiętając o takich szczegółach, jak dokładne cytowanie słów wypowiedzianych przez Seye'a w chwili, gdy dawał instrukcję robotowi. Winowajca, mając się za zdemaskowanego, nałamał się psychicznie i to stało się najlepszym dowodem jego winy...

Autor wywiadu, kończąc notatkę, wyraża obawę o przyszłość automatyki wobec możliwości przytrafiania się podobnych historii. Dziś wiemy, że obawy te nie były słuszne. Nie zdarzyło się dotąd, aby robot z własnej inicjatywy uczynił coś sprzecznego ze swą "cybernetyczną etyką". Roboty są z reguły dobrodusze i poczciwe; tylko ludzie bywają... ech, szkoda mówić...

**JAN KOPCZEWSKI**

# MAX

Max po raz drugi ze zdziwieniem odczytał rzucony na ekran tekst depeszy

"Mój Drogi !

Pragnę Ciebie odwiedzić po wielu latach niewidzenia. Myślę, że nie weźmiesz mi za złe, jeżeli dopiero osobiście wyjaśnię przyczynę tej wizyty.

Doktor Ju".

Doktor Ju był osobą, której odwiedzin Max bynajmniej się nie spodziewał. Już od kilku lat naukowcy przestali się właściwie Maxem interesować. Był wszechstronnie zbadany, można rzecz "zinwentaryzowany", i znajdował się pod opieką i ochroną Powszechnej Organizacji. Za jej pośrednictwem można było uzyskać o nim wszelkie informacje, które mogły zainteresować świat nauki. W uzgodnionych z Organizacją terminach przenosił się z miejsca na miejsce, przyjmując zaproszenia do odwiedzania miast, które pragnęły gościć u siebie żywą, objazdową wystawę z "epoki mamuciej". Nawet swoje imię zawdzięczał Organizacji, która swego czasu ogłosiła w tym celu konkurs. Imię to było skrótem łacińskiego słowa "maximus", co, jak wiadomo, oznacza "największy".

- A więc doktor Ju doszedł zapewne do końcowych wyników w swoich badaniach, jeśli pragnie odwiedzić osobiście jedyny na świecie obiekt godzien jego eksperymentu - domyślał się Max.

- Skąd jednak ten ciepły, serdeczny ton depeszy?

Jeszcze tego samego dnia nadał uprzejmą odpowiedź, po czym oddał się rozmyślaniom, których treść warto chyba poznać, jeśli sam Max uznał, że należy je zapisać.

Jestem epigonem "mamuciej cywilizacji". Ostatnim, może jedynym człowiekiem, któremu dane było z "mamuciej perspektywy" patrzeć na to wszystko, co się tu teraz na naszej starej Ziemi

dzieje.

Mało tego. Czeka mnie jeszcze przedziwny los. Jeśli bowiem doktor Ju rzeczywiście ma zamiar poddać mnie nie stosowanemu dotychczas zabiegowi... Nie uprzedzajmy jednak faktu. Na samą myśl o tym robi mi się nieswojo. Skóra na mnie cierpnie, mam wrażenie, że tracę na wadze i w oczach niknę. Muszę wtedy starym nawykiem człowieka, który często się różnym rzeczom dziwi, uszczypnąć własną nogę, żeby po chwili stwierdzić, że jednak istnieję i że prędkość reakcji psychicznej po uszczypnięciu odpowiada moim starym "mamucim" normom. Tu mała dygresja.

Mi(mikro)-ludzie, moi troskliwi opiekunowie, lubią sobie żartować z tego szczypania. Dowcipy na temat tego śmiesznego nawyku obiegały już całą prasę. Śmieszy ich to szalenie, że impuls spowodowany uszczypnięciem w nogę musi przebyć taką ogromną drogę, zanim dotrze do ośrodków mózgowych i zanim spowoduje ich reakcję. Gdy sam się szczypię - nie jest to jeszcze takie zabawne. Naprawdę śmieszne dla nich jest dopiero wtedy, gdy ktoś z członków jednej z licznych ekip dziennikarskich, tak często mnie odwiedzających, przeprowadzi ze mną podobny eksperyment. Oto relacja jednej z gazet ze spotkania ze mną:

"Nasz drogi Max, do którego kolejnej siedziby zawitaliśmy, przyjął nas w sposób ogromnie miły i bezpośredni. Prosiliśmy go, by pozwolił na przeprowadzenie tradycyjnego już doświadczenia. Jak zawsze skory do poświęcenia swego czasu dla dobra nauki i tym razem chętnie zgodził się na to. Eksperyment ten, tyle już razy publicznie powtarzany, wciąż nadal jest interesujący dla widzów. Gdy zajęliśmy Maxa rozmową (trzeba tu wspomnieć, że coraz już rzadziej używa on spowalniacza dźwięków i chwyta w lot zupełnie normalne tempo naszej rozmowy), kolega z jednego z dzienników uchwycił szczypcami fałdę skóry tuż nad butem. Odskokczyliśmy na boki, by nie znaleźć się w zasięgu cofanej odruchowo nogi. Pośpiech był zbyteczny. Max zdążył jeszcze wypowiedzieć do końca całe zdanie (ostatnio zresztą poczynił dalsze postępy w szybkim mówieniu), zanim impuls dotarł do jego pocziwego mózgu, wywołał reakcję, wrócił do ośrodków dyspozycyjnych, które z

kolei uruchomiły jego potężną kończynę, przesuając ją dostojnie na znaczną odległość. Nasza rozmowa z Maxem pełna była interesujących momentów. Jakże ciekawe jest takie konfrontowanie naszej fizycznej i psychicznej sprawności z reprezentowanymi przez Maxa pozostałościami powolnej mamuciej cywilizacji epok minionych". Gdyby ktoś, kto nie zna mojej pozycji w świecie, zechciał wniknąć w tę co najmniej dziwną i niezbyt wdzięczną sytuację - wystarczy, żeby uważnie jeszcze raz przeczytał zacytowany tutaj, wybrany zresztą na chybił-trafił spośród tysięcy podobnych w tonie i w treści, wycinek z codziennej prasy. Wszystko tu jest bardzo charakterystyczne.

A więc dominuje nuta życzliwego pobłażania: "Nasz drogi Max". Jestem traktowany jak godzien uwagi i studiów naukowych zabytek z zamierzchłych epok. Już zresztą określenie owych czasów mianem "mamuciej cywilizacji" jest trochę złośliwe, a trochę dobrotliwe. Zresztą mi-ludzie mogą w stosunku do swoich prapraprzodków odnosić się z zupełnym obiektywizmem. To jest zamknięta karta w historii. Mamuty nie wrócą. A ja? Cóż. Wybryk natury.

Mój przyjaciel z Instytutu Historii Form Wielkich (jeszcze tylko w nomenklaturze ściśle naukowej nie używa się pospolitego określenia "cywilizacja mamucia") mówił, że laureat nagrody Światowej Akademii Miniaturyzacji, słynny uczony japoński, doktor Ju, opracowuje metodę wstecznej miniaturyzacji organizmów żywych. I oto właśnie od doktora Ju nadeszła depeza.

Czyżbym miał stać się jego pacjentem? Czy byłoby słuszne poddanie się temu zabiegowi ?

Może wreszcie ustałoby, jak piszą sympatyczni dziennikarze "konfrontowanie naszej (tzn. ich) fizycznej i psychicznej sprawności z reprezentowanymi przez Maxa pozostałościami powolnej, mamuciej cywilizacji epok minionych?..."

Może przestałbym być obiektem zabytkowym dla moich rówieśników? To jednak dziwna sytuacja - od urodzenia być przeżytkiem i być uważanym za przedstawiciela epok minionych, z którymi w rzeczywistości poza formatem nie wiąże mnie nic więcej niż tych oto badaczy mojej

mamuciej powłoki.

Ale czy łatwe by było zdecydować się na porzucenie tejże powłoki? Chyba słusznie postąpiłem oddając wszelkie decyzje co do losów swojej osoby w ręce Powszechnej Organizacji Losów Świata. Przecież w końcu jestem obywatelem całego naszego świata. Jestem bardziej niż kto inny własnością całej mi-ludzkości. Niech decydują o mnie sami. Czy chcą mieć nadal Maxa, który zgodnie z zatwierdzonym przez Powszechną Organizację planem odwiedza wszystkie zakątki świata, wzbudza sensację i zainteresowanie historią form wielkich, czy też wolą wyzwolić mnie z roli eksponatu i przyjąć do swego mi-społeczeństwa? A ja? Ja notuję tych parę słów osobie pod wpływem ,depeszy od japońskiego uczonego. Zazwyczaj pamiętniki zaczyna się pisać, gdy się komuś wydaje, że stoi u progu wielkich wydarzeń w życiu osobistym.

Sprawa Maxa wtargnęła w uporządkowany system nowego świata w sposób nagły. Oto pewnego dnia do Powszechnej Organizacji nadszedł meldunek o sensacyjnym wydarzeniu. W jednej z klinik urodziło się dziecko, które już w przeciągu kilku tygodni osiągnęło wielkość noworodka z czasów dawnych epok. W dobie rozkwitu życia zminiaturyzowanego było to wydarzeniem, którego nikt się nie spodziewał. Żaden z instytutów zdrowia od dawna już nie dysponował szczepionkami hamującymi wzrost. Od dawien dawna problem kontroli wzrostu praktycznie już nie istniał. Wielka Agencja Miniaturyzacji Ludzkości należała już do historii. Drogą hamowania wzrostu kilkunastu kolejnych pokoleń przeciętny wzrost mi-człowieka osiągnął rozmiary krasnoludka z dawnych bajek. Bardzo chętnie porównywano mi-ludzi z tym tworam ludowej fantazji minionych epok, upatrując w tym odwieczne marzenia ludzkości o życiu zminiaturyzowanym. Zresztą to nieco dziecinne dowodzenie, jak również powoływanie się na znaną od dawna i szeroko rozwiniętą miniaturyzację urządzeń technicznych, nie wywarło wpływu na powzięcie owej epokowej decyzji dotyczącej zminiaturyzowania całego życia na Ziemi. Świat musiał niezależnie od tego znaleźć sobie nowe drogi rozwoju z chwilą, gdy glob ziemski nie mógł pomieścić swoich nowych mieszkańców.

Idea mi-świata stała się szczególnie aktualna, gdy pod koniec Epoki Kosmicznych

Wędrówek ludzie doszli wreszcie do wniosku, że szukanie nowych siedzib dla bilionowych rzesz nowych obywateli świata nie przyniesie rozwiązania nabrzmiałego problemu przeludnienia.

Osadzeni w nowych, zupełnie odmiennych warunkach Kosmosu ludzie nie byli zdolni dostosować się do tych innych warunków wegetacji. Przed Powszechną Organizacją Losów Świata stanęła alternatywa: albo na drodze sztucznie wywołanych mutacji przystosować nowe pokolenia do odmiennych biologicznie warunków bytowania pozaziemskiego, albo przeprowadzić akcję miniaturyzacji życia na Ziemi. Wybrano to drugie.

Doktor Ju był punktualny. Zaraz po zamknięciu dla publiczności pawilonu, w którym przebywał Max, pojawił się anonsowany przez urzędnika Organizacji. Robił wrażenie skrepowanego swoją wizytą. Jego zażenowanie wzmoгло się, gdy zostali z Maxem sami. Maxowi wypadło rozpocząć rozmowę.

- Drogi doktorze wrzucił mnie Gon pańskiej depeszy. Właściwie nikt do mnie nie zwracał się nigdy w ten sposób. Dopóki byłem dzieckiem, kierowano mną, nie pytając o zdanie. Teraz nadal, za moją zresztą zgodą, kieruje moimi sprawami Organizacja. Czemu przypisać, że proponując spotkanie potraktował mnie pan inaczej? Doktor Ju nie odpowiedział. Chwilę milczał. Wreszcie zaczął mówić formułując zdania z widocznym wysiłkiem:

- Wiedz, że od tego spotkania wiele zależy... Los związał nas ze sobą od chwili, gdy ujrzaleś światło dzienne w klinice, w której ja rozpoczynałem wówczas swoją karierę naukową. Moje losy są ci znane, choć ostatni raz widziałeś mnie kilkanaście lat temu. Twoje losy znane są wszystkim na świecie, nikt jednak zapewne nie słyszał jeszcze od ciebie słów zawierających tyle goryczy, ile mieściło się w tym, co przed chwilą powiedziałeś.

- Ależ, doktorze, to wcale nie gorycz. Prawdę mówiąc, jestem przyzwyczajony do swojego trybu życia. Muszę być w tym waszym świecie sterowany przez innych. Nie mogę się sam poruszać.

Jeśli transatlantyk chce przepłynąć wśród dżonek, biorą go na hol.

A wtedy ludzie z dżonek mogą mu się spokojnie przyglądać.

- No tak, ale po co ten transatlantyk, gdy wszystkie morza świata pokryte są wyłącznie dżonkami ?

- Nie budowałem swego transatlantyku - uśmiechnął się pogodnie Max. - To wina natury. I ona popełnia błędy. Zresztą jeżeli mnie co męczy, to właśnie to, że wszyscy przyglądają mi się z perspektywy maleńkiej dżonki, zachowując dystans ciekawego widza. Gdy ten dystans znika, tak jak w tej chwili, to gotów jestem z największą chęcią czynić wszystko, czego ode mnie żądają.

- Natura, chłopcze, nie popełnia błędów. Ludzie je popełniają...

- Jak mam to rozumieć? Przecież udoskonalony przez ludzi wasz precyzyjny świat jest doskonalszy od pogardzanej "cywilizacji mamuciej"? Jestem chyba oczywistym dowodem, że już tylko naturę stać na wybryki.

- Mylisz się.

Z oblicza Maxa zniknął uśmiech. Odmalowało się na nim najpierw zainteresowanie, które powoli zaczęło przechodzić w zdumienie. Zapanowała cisza.

- Jesteś wybrykiem mojego eksperymentu - wyszeptał w końcu doktor.

Max pospiesznie porządkował myśli. Rozumiał, że doktor dochodzi do sedna sprawy, że osiąga powoli cel swojej wizyty. Doktor zawahał się, lecz po chwili ciągnął dalej:

- Tak, odważam się wyznać ci prawdę, której nie zna nikt oprócz mnie. Kiedy przyszedłeś na świat, byłem młodym naukowcem, gotowym poświęcić wszystko dla swoich celów. Poświęciłem cię. - Doktorze, wiem, że pan pierwszy dał znać Organizacji o moim pospiesznym, niezwykłym wyrastaniu...

- Tak. Tylko że Organizacja dotychczas nie wie, że ja byłem tym, który ten wzrost spowodował... Na tobie wypróbowałem szczepionkę wzrostu.



- Przecież pan pracuje nad wsteczną miniaturyzacją. To całkiem przeciwny kierunek badań! -

umysł Maxa ciągle jeszcze zdawał się nie chwytać wzajemnych związków rzeczy.

- Poszedłem w tym kierunku, gdy nie udało mi się pohamować twojego wzrostu, gdy po dawce szczepionki wzrostu nie mogłem już zatrzymać rozwoju twojego organizmu. Jeszcze w początkach Wielkiej Akcji Miniaturyzacji zabroniono, ze zrozumiałych względów, prowadzenia badań nad szczepionkami wzrostu. Ja złamałem ten zakaz...

- Doktorze Ju, dlaczego pan to zrobił? Czy wiedział pan, co panu groziło ?

- Wiedziałem i byłem zdecydowany ponieść konsekwencje. Nawet poddać się deportacji. Za wszelką jednak cenę chciałem wypróbować potęgę mojej szczepionki. Zrozumiałem swój błąd dopiero wtedy, gdy było za późno i zabrakło drogi do odwrotu. Mój osobisty sukces okupiony został twoją osobistą klęską.

- Naprawdę nie wiem, czy rzeczywiście poniosłem klęskę...

- Ty nie wiesz. Bo ciebie w ciągu tych dwudziestu lat oduczono samodzielnie myśleć. Ale przemówię do ciebie językiem, który zrozumieć powinni ludzie z Epoki Wielkich Form. Gdyby wówczas poświęcono kogoś dla eksperymentu biologicznego, sztucznie wytwarzając z normalnego człowieka osobnika na poziomie człowieka jaskiniowego, gdyby nawet później otoczono go opieką, edukowano, cieszą się, że wspaniale asymiluje się w obcej dla siebie cywilizacji, gdyby wreszcie po wykonaniu pełnego programu badań naukowych zaczęto wozić go po stolicach państw...

- Tak jak mnie... - Tak jak ciebie...

- Doktorze, wiem, z czym pan do mnie przychodzi. Dziś po otrzymaniu depeszy zacząłem domyślać się, że musiał wystąpić pan do Organizacji, żeby zezwoliła przeprowadzić na mnie eksperyment wstecznej miniaturyzacji. Czy Organizacja wyraziła zgodę?

- Chłopcze, nie pytałem o to Organizacji i nie będę jej pytał. Pytam ciebie. Jeżeli nie straciłeś do reszty własnej woli, zdecyduj sam. Całe lata pracy naukowej poświęciłem tej chwili, by móc

stać przed tobą i od ciebie usłyszeć odpowiedź.

Doktor Ju czekał w milczeniu na odpowiedź. Max opuścił głowę. Wpatrywał się uporczywie w czubki swoich olbrzymich butów.

- Doktorze - zaczął powoli olbrzym - jeśli co we mnie własnego zostało po dwudziestu latach uprzejmego i troskliwego komenderowania, to chyba przede wszystkim szacunek dla nauki.

Szacunek dla twórczych sił waszego nowego świata, który nie może mi być obcy, bo powstał z geniuszu naszych prapraprzodków o "mamucich mózgach", takich jak mój, może powolniejszych niż wasze, ale równie wspaniałych... Chcę jednak być z wami bliżej. Chcę, żeby mi-ludzie przestali na mnie patrzeć z perspektywy dżonek, pisać o mnie w gazetach jak o niedorozwiniętym kolosie. - Na twarzy Maxa pojawił się znowu dobrotliwy uśmiech. Chcę również, żeby pan naprawił swój błąd.

- Dziękuję, chłopcze, że pozwalasz mi cofnąć zły krok, który kiedyś uczyniłem. Los okazał się dla mnie łaskawy.

"Nasz drogi Max, do którego kolejnej siedziby zawitaliśmy donosiła w rok później jedna z gazet - przyjął nas w sposób miły i bezpośredni. Długo rozmawialiśmy z tym człowiekiem, który wyrzekł się swej mamuciej powłoki dla dobra nauki. Geniusz dokom Ju uczynił z niego istotę na pozór nie różniącą się od mi-organizmów, choć nadal jeszcze sprawia mu trudność na przykład utrzymanie normalnego dla nas tempa rozmowy, rusza się wolniej i wolniej reaguje. Reakcje jego zminiaturyzowanego organizmu nie są jeszcze tak szybkie i precyzyjne, jak nasze. Pod koniec rozmowy skarżył się, jak zawsze zresztą z humorem, na swoje uciążliwe obowiązki, które właściwie niewiele się zmieniły. Cały świat chce obejrzeć zminiaturyzowanego Maxa. Ciągłe wyjazdy, ciągłe występy przed publicznością. Organizacja czuwa jednak nad losem naszego drogiego Maxa, pragnąc zachować w zdrowiu ten wspaniały przykład triumfu ludzkiej nauki".

# MARIA CZUDAKOWA

## PRZESTRZEŃ ŻYCIOWA

Wszystko to stało się niezwykle szybko.

Kraft pędził co tchu po zboczu, w dół, a już jeden z nich leżał w trawie na wznak, drugi zaś, pochylony, wpatrywał się w twarz swej ofiary z wyrazem, w którym prócz ciekawości nie było nic.

- Jest pan aresztowany! - krzyknął Kraft podbiegając. Nieznajomy nie zdradzał najmniejszej chęci ucieczki. Powoli się odwrócił, spojrzał obojętnie na pełną nerwowego napięcia twarz Krafta i na zaciśnięty w jego ręce pistolet.

Kraft zbadał puls leżącego, około minuty przysłuchiwał się nie zmaconej rytmem oddechu ciszy w jego piersi, aż w końcu rzucił surowo:

- Dlaczego pan zabił tego człowieka ?

- W pańskim pytaniu są aż dwie nieścisłości - sucho odrzekł nieznajomy. - Nie zabiłem go, a poza tym nie wiadomo, czy był człowiekiem.

Czubkiem buta dotknął czoła zabitego i zakołysawszy się, przysiadł, wyjął z kieszeni coś w rodzaju cyrkla i szybko zmierzył kilka odległości na twarzy leżącego, mruczając przy tym:

- Oczywiście. Kąt twarzy prawie się nie zmienił.

Kraft nie przeszkadzał aresztowanemu. Z ciekawością obserwował, gdy ten otworzył dłoń zabitego i badawczo wpatrywał się w nią, kilka razy odciągając duży palec, potem wstał, dokładnie otrzepał z kurzu kolana i, zwróciwszy się do zabitego, rzekł:

- Do szybkiego spotkania.

Kraft już niejednokrotnie obserwował nagłe otępienie umysłowe, w jakie popada przestępca natychmiast po dokonaniu zabójstwa, jeśli zabijanie nie stało się jeszcze jego rzemiosłem. To zamroczenie szybko jednak zamienia się w rozjaśnienie umysłu, gdy opanuje przestępcę nagła i gorąca skrucha.

W tym wypadku zabójca nie przejawiał jednak najmniejszych oznak skruchy. Zmęczony i blady, jakby straciwszy wszelkie zainteresowanie swą ofiarą, pograżył się w zadumie. Po pewnym czasie przerwał kilkoma słowami milczenie, radząc Kraftowi nie przejmować się zabezpieczeniem i ochroną trupa.

- Przecież i tak za godzinę jego tutaj nie będzie - powiedział, niedbale machnąwszy ręką. - Zresztą, jak pan sobie życzy.

Tę godzinę Kraft i aresztowany nieznajomy musieli spędzić razem obok trupa, bowiem Kraft czekał, aż ktokolwiek zjawi się na drodze. Siedzieli więc milcząc, zabójca zwrócony plecami do miejsca przestępstwa, Kraft zaś nie spuszczał ani na chwilę wzroku z trupa, gdyż nigdy nie lekceważył ostrzeżeń wypowiedzianych przez samych przestępców. Moment, w którym Kraft dostrzegł, że trup leżący przed nim w odległości dwóch metrów znikł i nawet trawa na tym miejscu nie była zgnieciona, wywołał w policjancie tak silny wstrząs, jakiego nigdy w życiu nie doznał. Najpierw chciał biec do najbliższych krzaków, po chwili jednak zreflektował się. Krzaki były w odległości co najmniej 100 metrów. Zabójca siedział bez ruchu na swym miejscu, nie przejawiając żadnego zainteresowania tym, co działo się za jego plecami. Pozostawało więc tylko przypuszczenie, że trupa pochłonęła ziemia.

W pięć minut po dziwnym zniknięciu zabitego Kraft, zrezygnowany z powodu takiego obrotu sprawy, zgodził się nawet na to, aby w milczeniu udać się za swoim nieznajomym aresztantem, kiedy ten zaprosił go do swego mieszkania. Kraft włókł się z tyłu za nieznajomym, od czasu do czasu bezmyślnie spoglądając na kroczącą przed nim jego wysoką postać. Przez całą drogę nie zamienili ani słowa. Wreszcie znaleźli się obaj w mieszkaniu nieznajomego, w dwupiętrowym domku, w gabinecie, którego urządzenie świadczyło o antropologicznych zainteresowaniach właściciela. Kraft siadł na wygodnym krześle, nieznajomy zaś - na skórzanej kanapie.

- Chyba już pan rozumie, że aresztowanie mnie nie miało i nie ma najmniejszego sensu -

odezwał się zabójca. - Wyjaśnień w tej sprawie nie będę udzielał, mimo że nie wymagają one dłuższych komentarzy, ostatecznie nie po to pana tutaj zaprosiłem. Mam do pana wielką prośbę. Jutro już mnie tutaj nie będzie. Nie będę mógł również zabrać ze sobą swoich rękopisów. Ale pragnąłbym bardzo je w jakiś sposób przechować. Swego czasu już dwukrotnie zwracałem się z taką prośbą do innych ludzi. Jednak w obu wypadkach moje papiery potem nie odnalazły się. Ile pan ma lat? Przepraszam, że o to pytam.

Kraft nie miał trzydziestu ośmiu i to widocznie w zupełności odpowiadało nieznanemu.

Kraftowi wydawało się, że jego rozmówca jest młodszy. Nieznajomy w kilku słowach wyjaśnił, że ma nadzieję zabrać rękopisy nie wcześniej niż za trzydzieści lat, a możliwe, że jeszcze później, i że treść rękopisów dotyczy badań antropologicznych, których ku wielkiemu jego nieszczęściu nie zdążył doprowadzić do końca, mimo że do niedawna miał nadzieję, iż zdoła je zakończyć. Zdaje sobie sprawę, jak dziwne wydaje się jego zachowanie, jednak prosi, aby mu zaufać, bo przecież on nie jest przestępcą, gdyż tam koło rzeki występował tylko w obronie własnego życia, a najważniejsze - nie zrobił nic złego człowiekowi, którego Kraft widział już martwego.

W następnych tygodniach, po wizycie u nieznanego, Kraft często rozmyślał o całym tym zdarzeniu i nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że on, człowiek pełniący odpowiedzialną służbę państwową, nie tylko pozwolił uciec niebezpiecznemu przestępcy, ale jeszcze wziął na przechowanie jego rękopisy. Ponadto uczynił to dla tak przebiegłego przestępcy, któremu udało się skryć lub zniszczyć trupa jakimś jeszcze nie znanym w kryminalistyce sposobem.

Niepokój spowodowany jednoczesnym tajemniczym zniknięciem z miasta dwóch ludzi dość prędko minął, a z czasem po prostu o tym zapomniano. Nikt nie widział, że Kraft był u jednego z nich w mieszkaniu w przeddzień jego zniknięcia. Nikt zresztą o to go nie pytał. A mimo to on sam, świadek przestępstwa, uważał, że honor jego został splamiony, postanowił więc wystąpić ze służby w policji. Nie będąc już na służbie, korzystając z wolnego czasu, zaczął zaglądać do rękopisów

człowieka, którego, mimo aresztowania po dokonaniu zabójstwa, puścił wolno, sam stawszy się jednak przez to niejako mimowolnym współnikiem jego przestępstwa i jego ucieczki. W tamten pamiętny dzień na pytanie Krafta, jak ma na imię, nieznajomy odpowiedział: "Nazywam się First". Papiery i imię, nie wiadomo czy prawdziwe - to wszystko, co pozostało Kraftowi po osobniku, który tak nieoczekiwanie wpłynął na zmianę jego dotychczasowego trybu życia. Rękopisy zawierały szczegółowe i bardzo dokładne notatki z badań, oparte na ogromnej ilości faktów. Nie ma potrzeby drobiazgowo opowiadać o tym, jak Krafta z latami coraz bardziej i głębiej pochłaniała dziedzina antropologii i pokrewnych jej nauk, aż w końcu stało się dla niego oczywiste, że badania Firsta są unikalne. Autor tych rękopisów nie poruszał zagadnień dotyczących wykopalisk i wszelkiego rodzaju znalezisk w jaskiniach Starego i Nowego Świata. Posługiwał się jakimiś innymi, tylko jemu znanymi danymi, które pozwoliły mu znaleźć potwierdzenie dla wielu bardzo śmiałych domysłów o ewolucji człowieka w ciągu całych 50 tysięcy lat. Ściślej mówiąc, nie była to już nawet antropologia, ale raczej coś bardzo zbliżonego do nauki o całokształcie rozwoju ludzkiego. Krafta szczególnie zadziwiła wielka swoboda autora w opisywaniu bytu na przykład jaskiniowców czy Europejczyków z epoki Odrodzenia. Gesty, chód, niski, urywany śmiech kobiet z epoki neolitu były przedstawione tak naturalnie, jakby autor był ich naocznym świadkiem, jakby sam żył w tych odległych czasach. To samo dotyczyło innych okresów historii. To, co dla specjalisty wydawałoby się w najlepszym wypadku niedopuszczalną powierzchownością, Kraft przedstawiał sobie w zupełnie nowym świetle. Baczne zwracanie uwagi na drugorzędne szczegóły, które nieraz przynosiło sukces w wykrywaniu ciemnych i zawiłych spraw kryminalnych, pomogło mu i w tym wypadku, w tej mało dotychczas znanej mu dziedzinie. Kraft powziął w końcu dziwne, niemal cudaczne przypuszczenie i ruszył jego śladem.

Najpierw należało prześledzić biografię Firsta. W archiwum policyjnym wiadomości były

dostateczne. First był lekarzem z bardzo krótką praktyką. Zjawił się w mieście przed pięcioma laty.

W ciągu tego czasu ani razu nie opuścił miasta. Nie miał żony ani dzieci. Obracał się w kręgu nielicznych znajomych. Poruszał się po mieście tylko pieszo.

Wśród tych faktów szczególnie jeden zwrócił uwagę Krafta. Dlaczego ten dobrze sytuowany człowiek, mający wiele wolnego czasu, nigdzie nie jeździł? Kraft dokładnie prześledził jego marszrutę w obrębie miasta i doszedł do ciekawych wniosków. Poruszanie się Firsta w mieście odbywało się dokładnie po liniach wewnątrz prostokąta. Jedna z tych linii przebiegała przez dolinę na zachód od rzeki, nad którą kiedyś spotkali się przy owym zabitym człowieku. Odległość między północną i południową granicą obszaru prostokąta nie przekraczała dwóch kilometrów. First nigdy nie bywał na południowym krańcu miasta. Miasto dla tego człowieka było swego rodzaju więzieniem, w którym był on zamknięty z własnej lub nie wiadomo czyjej woli.

Tajemnica urastała i powoli nasuwała rozwiązanie, które przerażało Krafta swą niezwykłością. W archiwum policji Kraft odnalazł jeszcze trzy sprawy "o zniknięciu mieszkańca miasta". Pierwsza z nich była zgłoszona przed 150 laty. Okoliczności tych trzech spraw były podobne. Ludzie znikali w nocy, bez żadnych rzeczy, i nikt nigdy ich więcej nie widział. Kraft znalazł również dużo wspólnego w mało istotnych i drobnych szczegółach tych spraw. Mógłby nawet postawić sto przeciw jednemu, że znikał za każdym razem ten sam człowiek. Kiedy tę niezwykłą hipotezę Kraft postawił prawie ostatecznie, zajęła go nowa historia - z planetą Nerejdą. Historia ta wprost pochłonęła Krafta i oderwała na dłuższy czas od sprawy nieznanego, a potem przyszły jeszcze inne zdarzenia, które wypełniły bez reszty ostatnie 20 lat życia byłego policjanta.

W ciągu tego czasu miasto znacznie zmieniło swój wygląd. Tam gdzie stał dom Firsta, od dawna istniał miejski basen kąpielowy. Kraft również przez ten czas dwa razy zmienił miejsce zamieszkania. Na stare lata były policjant szczególnie polubił niewielki, lecz przytulny bar wybudowany przed 10 laty w dolinie rzeki, właśnie na tamym, pamiętnym dla niego miejscu.

Oprócz dobrego piwa, które tu podawano, i oryginalnej nazwy "Na Krańcu Świata" była jeszcze jedna pociągająca Krafta okoliczność; gdyby rzeczywiście First miał zamiar zjawić się jeszcze raz w tym mieście, to według hipotezy Krafta - powinien zjawić się właśnie tutaj !

I tak się stało. W cichy październikowy wieczór First zjawił się na progu baru tak niespodzianie, jakby wyszedł ze ściany.

Niezdecydowanie przestępował z nogi na nogę przy drzwiach baru rozglądając się dokoła, jakby nie mógł zdecydować się, w którą stronę zrobić pierwszy krok.

Mimo swych 67 lat Kraft zachował nie tylko jasność umysłu, lecz i opanowanie. Wystarczyło mu zaledwie kilka chwil, aby przyjść do siebie po wstrząsie, jakiego doznał, kiedy tak nagle ujrzał Firsta. Właściwie ujrzał to, na co czekał. First prawie się nie zmienił w ciągu minionych trzydziestu lat. Kraft skinął na niego ręką i First skierował się w stronę jego stolika, uparcie wpatrując się w Krafta.

- To pan, drogi przyjacielu - rzekł cicho. - Przypadkowo zastałem pana tutaj czy też pan czekał na mnie?

- Czekałem na pana - twardo odpowiedział Kraft. Czekałem dlatego, żeby pan opowiedział mi wszystko i zdjął ze mnie ciężar tajemnicy. Pana rękopisy są w należyтым porządku. Jak pan widzi, jestem już stary i długo nie pożyję, a zapłata, której oczekuję od pana, nie jest wcale duża.

- Ja też jestem stary - odrzekł First - i podróż moja też zbliża się ku końcowi. Bardzo bym tego żałował, gdybym odchodząc na zawsze, komukolwiek nie opowiedział o sobie. Nie będę rozwodził się długo. Wszystko można by wyrazić w dwóch zdaniach. Wy jesteście ograniczeni czasem, a ja jestem ograniczony przestrzenią, i to jest cała istota zagadnienia.

Spokojne, szare oczy Firsta spoczęły na Krafcie.

- Odbyta już przeze mnie w czasie życiowa podróż jest o wiele dłuższa od waszej. W przestrzeni jest ona o wiele krótsza. Tak właśnie jak pan, ja też nieodwołalnie zbliżam się do końca



istnienia, do tego, co wy nazywacie śmiercią.

- Tam za rzeką? - spytał Kraft. First skinął głową.

- Tak, na pewno, to nastąpi tam. W każdym razie nie dalej niż za wieżami starej miejskiej strażnicy. Moje życie ograniczone jest do tej przestrzeni, tak jak wasze do określonego czasu.

Przypuszczam, że i pan najprawdopodobniej nie przeżyje stu lat. Mnie zostało ze trzysta metrów długości i pięćdziesiąt szerokości. Czas zawsze mija równomiernie i nawet najbardziej nieszczęśliwy

wasz dzień trwa tyle godzin, ile każdy inny, a przestrzeń kurczy się niekiedy skokami. Nagle okazuje się, że zostało jej mniej, niż człowiek oczekiwał.

- I co pan wtedy robi ?

- Odchodzę do innego czasu. Zatrzymać skracania się przestrzeni nie mogę, tak jak wy nie możecie zatrzymać swego czasu. Ale wy możecie przedłużać swoje życie kosztem przestrzeni. "On przeżył nie jedno życie, ale kilka" - mówicie o człowieku, który przemierzył cały świat. Ponadto macie w zapasie i inne planety.

Ja zaś "przedłużam" swe życie kosztem czasu. Przeżywam niezliczoną ilość pokoleń, ale wszystkie one zmieściłyby się na maleńkim obszarze, poza którego obręb nigdy nie mogłem wyjść.

Oszołomiony tym, co usłyszał, Kraft dopiero po pewnym czasie przerwał milczenie pytając, jak dalekie bywają podróże Firsta.

- Mogą być dowolnie dalekie - odrzekł First. - Można wrócić do swego poprzedniego czasu, "postarzałego" dosłownie o tyle lat, ile przebywałem w innym czasie, i zastać jeszcze żyjących, znajomych ludzi... Zazwyczaj jednak tego nie robię. Pewnego razu powróciłem zbyt wcześnie, jednak później niż obecnie, ale zdążyłem jeszcze ujrzeć schorowaną i zgrzybiałą staruszkę, którą kiedyś kochałem i z którą mieliśmy córkę. Również nadarzyła mi się wtedy sposobność spotkania i z córką. To była piękna kobieta, z wyglądu starsza ode mnie o piętnaście lat. Gdy nas sobie przedstawiono, powiedziała, że przypominam jej ojca, który był również piękny i elegancki. Muszę

przyznać, że byłem bardzo zadowolony, iż moja Elen nie zapomniała o mnie.

- Czyżby pana nigdy nie poznawano? Przecież mógł pan znaleźć się w kręgu swych krewnych, bliskich...

First uśmiechnął się.

- Kto dzisiaj wierzy w cuda? Porównanie, nawet najbardziej oczywistych faktów, może zaledwie niewielu zaprowadzić tak daleko, jak odważył się posunąć pan, drogi Krafcie. Pan jest pierwszym znanym mi człowiekiem, który spojrział rzeczywistości w oczy, jakkolwiek to zaprzecza ogólnie przyjętej zasadzie. O jakich moich bliskich pan mówi, dobry przyjacielu? Co by powiedziano w naszym mieście o dość młodym osobniku, jeśliby zatrzymał na ulicy ogólnie szanowanego doktora Wernie, który na pewno już obchodził swe siedemdziesięcioletnie, i trzęsąc go za zgarbione ramię, upewniał go, że on, Wernie, jest jego synem, synem tego właśnie młokosa...

- Daleka przeszłość, Bóg z nią - mówił dalej First. - Przyznam się, że dostaję dreszczy na samą myśl znalezienia się wśród waszych praszczurów, oglądania jaskiń, gigantycznych drzew zamiast miasta, które w ciągu ostatnich kilku wieków stało się prawie moim. Nie, mnie wcale nie pociąga przeszłość. Jedyne, czego bym pragnął - to znaleźć się znów w legionach wielkiego Cezara. Chociaż kto wie, chyba byłoby mi obecnie przykro walczyć przeciwko Gallom - uśmiechnął się First.

Siedzieli przy oknie i First chwilami spoglądał w stronę starych wież zupełnie takim spojrzeniem, z jakim bardzo starzy ludzie patrzą na cmentarz. Wielka litość wobec tego człowieka, prawdopodobnie jedynego rówieśnika ludzkości, wzruszyła Krafta. Zaczynał rozumieć, iż mało pocieszające jest to, że życie Firsta mierzyło się nie latami, ale dziesiątkami metrów.

- Howard, Pele i Fosler, którzy zniknęli swego czasu z miasta, to za każdym razem też był pan? - spytał Kraft.

- Tak, to ja - odpowiedział spokojnie First - i za każdym razem nie ze swej woli. Na mnie czatują inne niebezpieczeństwa. Jak już wspomniałem, tak jak i ty, nie jestem wolny od przypadków. Oto pewnego razu, zdaje się na początku ubiegłego wieku, byłem na tyle nieostrożny, że wynająłem powóz. Dom, do którego spieszyłem, stał w punkcie dobrze mi znanym. Ale woźnica był pijany i przejechał 10 metrów dalej, a ta odległość znacznie już skracala moje życie. Na zatrzymanie powozu nie było czasu. Wskoczyłem więc w' pełnym biegu i złamałem nogę. Odtąd nigdy nie jeżdżę powozem. Okazało się to dla mnie zbyt kosztowną przyjemnością. Ale prawdziwego wroga mam tylko jednego.

- Czy to ten, z którym pan walczył wówczas nad rzeką ?

- Tak, to właśnie on, Secand. On jest taki sam jak ja, ale jest między nami jedna różnica. On zjawiał się później niż ja i z pewnymi właściwościami, zbliżającymi go do rodzaju ludzkiego. Tak jak wy nie wiecie, co się stanie z wami jutro, tak on nie wie, co się stanie z nim na następnym metrze przestrzeni i do jakiego czasu zostanie przerzucony. Jakaś nieznana siła kieruje nim i nieoczekiwanie wyrywa go z czasu według własnego widzimisię. Jest mu o wiele lżej niż mnie. Nie potrzebuje sam decydować, czy odejść od bliskich ludzi do innego czasu, gdzie znajdzie, być może, pustynię lub sterty gruzów na znanym już terenie. Ale mimo to ten idiota uważa, że kierowanie czasem - to ogromne szczęście, którego on jest niezasłużenie pozbawiony. Wówczas gdy pan, panie Kraft, mnie zaaresztował, on rzucił się na mnie nieoczekiwanie i pociągnął do rzeki. Udało mu się zabrać mi pięć metrów życia i musiałem dlatego natychmiast odejść. Nie wiem, po co mu to było potrzebne. Przecież wiedział, kim jestem. My rzadko się spotykamy, ale poznajemy się od pierwszego wejrzenia.

- Gdzie więc on zniknął wówczas?

- Moje uderzenie odesłało go do innego czasu. Możliwe, że obecnie przebywa na tym miejscu z naszymi praprawnukami. Kraft drgnął i spojrział na opustoszały lokal. Oto przywidziały mu się

sylwetki tych jeszcze nie narodzonych ludzi, które w milczeniu usadowiły się niedaleko ich stolika.

- Może być też i inna wersja - powiedział First i głęboki cień przemknął po jego twarzy. -

Second podróżuje w czasie do przodu i do tyłu. Tamtego dnia widocznie wrócił z dalekiej przeszłości. Nie może pan sobie wyobrazić, jak przerażające było patrzeć na zwykłą twarz Europejczyka zniekształcaną w strasznym grymasie gęby Neandertalczyka... Wówczas go uderzyłem...

- Jakie to przykre - cicho mruzczał Kraft. - Dwóch was tylko i jesteście wrogami !

- Cóż zrobić? Ja z Secondem przebywam na tej samej przestrzeni, wy zaś żyjecie ze swymi wrogami w tym samym czasie. Ale to nie jest istotne. Przeraza mnie co innego: to stałe odczuwanie skończonej przestrzeni, nieustanne zbliżanie się do punktu granicznego, te marne dziesiątki metrów, które mi pozostały... Przejęty niezwykłością sytuacji Kraft zdecydował się wreszcie zadać Firstowi ostatnie pytanie, które nurtowało go od początku spotkania.

- Czy pan też boi się śmierci ? First opuścił głowę.

- A czy wy wiecie o niej cośkolwiek?

- Absolutnie nic. Zawsze myślałem, że strach przed śmiercią powstaje dlatego, że o niej nic nie wiemy.

- Rozumiem was - powiedział First - sam nieraz krajałem trupy i dobrze wiem, jak wygląda człowiek na skraju swej drogi w czasie. Ale co stanie się ze mną, gdy zabraknie mi przestrzeni?...  
Bar

już zamykano, więc obaj wyszli na ulicę. Pożegnali się przed domem Krafta. First zabrał część swych rękopisów. Nazajutrz znów mieli się spotkać.

Kraft długo nie mógł zasnąć tej nocy. Rozmyślał nad niezwykłą okazją, którą mu stworzył przypadek. Oto ostatnie swoje dni spędzi na rozmowach z człowiekiem, który widział to, o czym nie napisano jeszcze w żadnej z książek.

Nazajutrz First nie przyszedł na umówione spotkanie. Koło południa Kraft, kupiwszy

poranną gazetę, przeczytał w niej notatkę o nieznanym młodym człowieku, który przechodził wczoraj wieczorem ulicą w północnej części miasta i został uderzony przez jadący powóz. Woźnica zabrał rannego, który stracił przytomność, i wioził przez całe miasto do szpitala. Kiedy zatrzymał się przed szpitalem, w powozie nie było nikogo. Dokładnie przeszukano cały teren w pobliżu, ale bez skutku. Udało się odnaleźć tylko zakrwawioną teczkę pełną arkuszy z rysunkami kości i czaszek, prawdopodobnie należąca do rannego. Ranny młody człowiek przypuszczalnie spadł z mostu do rzeki i został uniesiony z prądem.

przekład : Mikołaj Dubrawski

# ANDRZEJ CZECHOWSKI

## 90 000 000 000 KILOMETRÓW OD SŁOŃCA

Tego dnia przestał pracować silnik i wszystkie strzałki w kabinie skoczyły - nieważkość.

Nareszcie mógł wyjść na zewnątrz statku. W śluzie, na szafie ze skafandrami, zebrała się warstewka delikatnego kurzu, który uniósł się teraz w górę puszystym obłoczkiem, aż pochłonęły go brzęczące u sufitu wentylatory. Zamknął przyłbicę hełmu, ostrożnie, ślizgając się na magnetycznych podszwach, podszedł do luku i zaczął obracać korbę ręcznego bezpiecznika. Musiał wykonać dziesięć obrotów, zanim automaty przejęły kontrolę nad wejściem. Czerwono zapalił się napis "Próżnia" i kompresory zaczęły wsysać powietrze, aby najmniejszej nawet drobiny nie wypuścić w przestrzeń. Potem ogromna kłapa drgnęła i otworzyła się, układając przed nim pomost ku gwiazdom. Odpłynął od statku, pchnięty odrzutem plecowej rakiety, aż 400-metrowa lina napięła się i zatrzymała go na elastycznej uwięzi. Czuł, jak chłód otoczył go zewsząd, jak ciepło odpływa z jego skafandra, pożerane przez przestrzeń. Chciał otrzeć ręką czoło, zatrzymał dłoń przy szybie. Statek, podobny do grzyba, z tęnym łbem okutym grubym, przeciwradiacyjnym pancerzem, płynął bezwładnie przez noc, oddalony od Słońca o dziewięćdziesiąt miliardów kilometrów. Dookoła gwiazdy, rozdeptane mgławice, świetlne iskierki, chmury iskierek; żadnej tarczy, żadnego Słońca, żadnego Księżyca i żadnej Ziemi. Okropny, niewyobrażalny mróz, dzięki któremu próznia wydawała się czarną wodą, zgęszczaną okropnym ciśnieniem i chłodem. Temperatura na zewnątrz: -273 stopnie Celsjusza.

Gdy wracał do statku, w przelocie spojrzął na swoją rękawicę. Wiedział, że dookoła nie ma niczego, oprócz pojedynczych atomów wodoru, kilkuset w centymetrze sześciennym, ale nie mógł opanować uczucia, że przestrzeń przeniknęła jego skafander i jego ciało, aby w jego wnętrzu zostawić drobinę, nie większą od atomu, molekule, ale w jakiś sposób obcą i groźną. Wiedział, że dookoła nie ma niczego, lecz gdy spojrzął na rękawicę, zobaczył na białej tkaninie z nylonu,

chroniącej z zewnątrz skafander, mgiełkę drobniotkiego pyłu, tak drobnego, że wydawał się niematerialny cień rzucający przez pajęczynę, nie więcej. Kłapa wjazdu zamknęła się. Była pokryta od wewnątrz srebrzystym szronem, jak kryształkami soli.

Miał wiele zajęć. Całymi dniami pracował w obserwatorium, gdzie ogromne teleskopy chwytały w swoje czarne tubusy promieniowanie kosmiczne, światło dalekich gwiazd i radiowe sygnały zza granic Galaktyki. Wieczorami, gdyż regulamin nie pozwalał mu dowolnie wybierać pory dnia, oglądał programy telewizyjne z Ziemi, które potrzebowały osiemdziesięciu godzin, aby dotrzeć na jego statek.

Radiogramy wysyłał co tydzień, redagował je w soboty i uważał sobotę za najgorszy dzień tygodnia. Aby to sobie powetować, żądał w sobotę butelki wermutu do obiadu i pił wino przez całe popołudnie.

Nocami sypiał niedobrze. Wydawało mu się - a może nie było to złudzenie? - że z wnętrza statku dobiegają odgłosy, potrzaskiwania, jak gdyby ktoś łamał, kawałek po kawałku, drewnianą listwę. Musiał zresztą przyzwyczaić się do tego - nie wiedział, dlaczego to takie trudne - że statek żył nieustannie ciągłym krążeniem prądów, płynów hydraulicznych i warkotem wentylatorów wymieniających powietrze. Nie potrafił nigdy wyobrazić sobie statku jako całości. Myślał a oddzielnych agregatach: ogrzewanie, tlen, stabilizacja przestrzenna, energia, urządzenia kuchenne, przeliczniki w sterowni - jak gdyby były one ładunkiem statku, a nie po prostu nim samym. Zawsze myślał o tym przed snem i, co gorsza, śnił również.

Pewnego poranka, klejącymi się od snu oczami, zobaczył na ścianie plamkę. Dotknął jej palcem - chropowatość. Małeńki płat farby odpadł od ściany. Patrzył na to przez chwilę niechętnie, nagle uderzyło go - rdza! Ściany jego pokoju nie były z żelaza! Zdrapał trochę rudego proszku i obejrzał przez lupę. Czerwone, kruszące się ziarenka, twarde i ostre jak ziarna papieru ściennego. Miał zamiar zrobić analizę chemiczną, ale później stracił ochotę. Nałożył na ścianę nową warstwę

lakieru, pociągnął z wierzchu plastikowym, bezbarwnym, i przestał o tym myśleć.

Była to właśnie sobota. Przyniósł do pokoju papier i butelkę wermutu. Od rana czuł już lekki ból głowy. Pił je z plastikowej butelki, którą naciskał jak gumową gruszkę - zawsze połykał przy tym więcej wina, niż należało. Nienawidził pisania, a musiał napisać czterdzieści odpowiedzi na czterdzieści standardowych pytań i jak zwykle dopisać coś jeszcze w rubryce "Uwagi". Tej ostatniej rubryki nienawidził najbardziej. W pewnej chwili jego wzrok padł na ścianę, pod którą stał tapczan: plama ukazała się znowu, jeszcze większa i jaskrawsza niż poprzednio.

Mieląc w ustach przekleństwa podszedł do ściany. Lakier był przeżarty na wylot, rdzawa masa wybrzuszała się na milimetry ponad powierzchnię ściany, jak gdyby narastała, warstwa na warstwie. Przyniósł narzędzia i zdrapał rdzę. Sięgała w głąb metalowej ściany, zostało po niej chropowate, jak wyżarte kwasem wgłębienie. Powinien je czymś wypełnić. Nie mógł obmyślić żadnego sposobu, wreszcie przyniósł z biblioteki portret Einsteina i umocował go na ścianie, aby zasłaniał wyrwę. Trochę spokojniejszy wrócił do pracy.

Wieczorem wypił resztę wermutu i położył się z okropnym szumem w głowie. Czuł, jak ból narasta, naciskał palcami skronie, aż spęczniały żyły i przed oczami pojawiły się czarne fale krwi.

- Cholerne wino - powiedział do siebie.

Nie mógł w ogóle usnąć. Wydawało mu się, że w pokoju jest ciemniej niż zwykle, przed oczami latały płaty zgęszczonego mroku jak ogromne, czarne nietoperze. Warczały wentylatory.

- Cholerne wino - powiedział jeszcze raz.

W głębi statku rozległ się ostry huk, zabrzączało tłuczone szkło. Zerwał się, przytrzymany elastycznymi pasami, odpinał je niezręcznie, szukając stopami magnetycznych butów. Wybiegł na ciemny, o drżących ścianach korytarz. Odgłos nie powtórzył się. Zapalił światło i przeszedł wzdłuż korytarza, mrużąc oczy. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Stał przy drzwiach swojego pokoju, wahając się, z głową ciężką od bólu, kiedy nagle poczuł zapach. Ostry zapach, od którego



lżawiły oczy. Wreszcie zrozumiał - chlor! Musiał pęknąć balon z chlorem i trujący gaz przedostał się przez otwarte drzwi. Woń była coraz mocniejsza. Krztusząc się przebiegł korytarz, znalazł się w sterowni, zamknął za sobą drzwi i przekręcił kółko hermetyzacji - powietrze nadęło gumowe uszczelki. Włączył wentylatory we wszystkich pomieszczeniach i puścił powietrze do filtrów oczyszczających. Zaczynał zdawać sobie sprawę, jakiego uniknął niebezpieczeństwa - chlor był pod ciśnieniem, jedna butla wystarczyłaby na zatrucie powietrza w całym statku. Odczekał, aż powietrze zostało wymienione, i otworzył drzwi. Pękniętą butlę znalazł w magazynie, przy końcu korytarza.

Tryskający pod ciśnieniem gaz napotkał na swojej drodze stojaki ze szkłem laboratoryjnym i zmiażdżył je o ścianę. Szkło unosiło się w powietrzu, przyssane do wentylatorów. Pusty balon wyrwał się z uchwytów i spoczywał wśród rozbitych konstrukcji, zaklinowany między nimi a ścianą. Obejrzał butlę ze wszystkich stron, aż znalazł mały stwór, okrągły, jak gdyby zrobiony wiertłem. Jego brzegi pokrywał rdzawy nalot, warstwy kryształków narosły obok niego i przeżarły metalową skorupę. Patrzył na to nieprzytomnymi oczami - cóż to mogło być? Rdza? Alotropia, udzielająca się metalowi i zmieniająca go w rudy proch?

W jaki sposób ten stop, którego składniki potrafił wyliczyć wraz z ich procentową zawartością, mógł ulec alotropii? Może jakiś kwas ?

Obejrzał pozostałe butle z gazem, ale nie znalazł na nich ani jednej rudej plamki. Wrócił do swego pokoju, gasząc po drodze wszystkie światła. Leżał w ciemności i czuł, jak ogarnia go niepokój, nieokreślony lęk, którego nie potrafił przezwyciężyć. Wydawało mu się, że powinien teraz coś zrobić, właśnie teraz, i ta świadomość nie pozwalała mu spać. Wstał znowu, zapalił światło i zobaczył przed sobą portret Einsteina, Einsteina z mądrymi oczami i zwariowaną czupryną.

Zauważył, że portret odstawał od ściany ! !

Nie potrafił się zdecydować. Czuł jakieś obrzydzenie, jak gdyby miał podnieść kamień, pad którym - wiedział - kryją się stonogi - wielonogie, wijące się, potwory. Ale podszedł do ściany i

zerwał portret, cofając się o krok.

Wyglądało to jak rudy mech. Właściwie - jak odlew mchu w czerwonym metalu, w którym miejsce puszystości zajęła chropowatość, a kształty pogniotły się i wyostrzyły jednocześnie.

Czerwona kępa wyrastała ze ściany, stłoczone roślinki wczepiły się w metal, zdawało mu się, że widzi, jak wysysają korzeniami z metalu to, co nadaje mu twardość a połysk. Odczuwał strach. Może wszędzie, pod farbą, wewnątrz litej, metalowej ściany rozpleniła się zaraźliwa grzybnia, która prędzej czy później wyrośnie martwym, czerwonym mchem i rudymi kępami pokryje wszystkie ściany i podłogi, i sufity? Pokonując lęk zaczął dłutem odłupywać ze ściany rudą narośl i nie przestał, dopóki nie odsłonił lśniącego, nagiego metalu.

Ten widok go uspokoił.

Z powrotem zawiesił portret na ścianie i wrócił do łóżka. Był to dopiero początek, pierwsze ostrzeżenie. Przez dzień następny chodził po kabinach, od sterowni do laboratorium, szukając chropowatości, rdzawych plamek, złuszczonego lakieru. Nie rozstawał się na chwilę zaostrzonym dłutem i trójkątnym pilnikiem. Najchętniej zdarłby wszędzie warstwę farby, aby widzieć wokół siebie tylko nagi metal, jedyną rzecz, której mógł dowierzać. Ale nie mógł tego zrobić. Nocami czuł, że w statku, w jego najgłębszych zakamarkach, rozrasta się niebezpieczeństwo, zdradziecka rdza, która czyni metal kruchym i nieposłusznym. Statek go zdradzał. Warkot wentylatorów trwał nieustannie, nieustannie prąd biegł brzęczącymi przewodami i płyn hydrauliczny krążył w rurach, ale on był pewien, że jest to tylko kamuflaż, maska, która ukrywa spisek. Sprawdzał wskazania przyrządów w sterowni. Gdyby zdrada sięgnęła któregoś z ważnych zbiorników lub przewodów, czujniki elektryczne wykryłyby natychmiast zmianę oporności i zawiadomiłyby go alarmowym sygnałem. Gdyby któryś z czujników przestał pracować, alarm rozległby się również. Gdyby przestało działać urządzenie alarmowe...

Wiedział, że nie powinien o tym myśleć.

Osmego dnia znalazł znowu rdzę, tym razem w laboratorium, wżartą w ścianę głęboko, aż bał się, czyszcząc wyrwę, że przebiję ścianę na wylot. Poczul się znów zaalarmowany, znowu obszedł całą część mieszkalną, zaglądając wszędzie, we wszystkie kąty, za rury wodociągowe, za zlew i wannę, za siatki wentylatorów. Znajdował maleńkie, czerwone plamki, szlifował w tych miejscach metal do połysku, aż jaśniał on lustrzanym blaskiem. Gdy przypuszczał już, że obejrzał wszystkie pokoje, przypomniał sobie o maleńkim magazynie, nie większym od szafy ściennej, gdzie wyrzucał uszkodzone aparaty, których nie miał zamiaru naprawiać. Nie było tam nawet światła. Oglądał ściany, centymetr po centymetrze, w ostrym świetle potężnej latarki i w najdalszym kącie, gdzie zgęszczał się mrok i przenikały się cienie, zobaczył rudy kiełek, wychylony z metalu, wygięty lekko w linię, która nasuwała nieodparte wrażenie wzrostu. Kiełek powiększał się. Tak przynajmniej on myślał. Był tego pewny. Wyrwał go ze ściany i rozkruszył .na proch. Wiertarką zniszczył korzonek, wrosły głęboko w ścianę. Ledwie trzymał się na nogach, czuł strach, który wyciskał z niego pot jak lodowatą wodę. Nie miał już wątpliwości, że niebezpieczeństwo jest coraz większe, realniejsze, a zarazem nieuniknione. Skąd ono przyszło do statku? Ciągle gotów był przypuszczać, że sam statek podniósł przeciw niemu bunt, w :niepojętej zemście za to, że mógł zrobić z nim wszystko, a jednocześnie był bezbronny i bezradny. Odpowiedź z Ziemi nie nadchodziła. Nie spodziewał się zresztą wiele po tej odpowiedzi, miał tylko nadzieję, że otrzyma pozwolenie na przerwanie lotu i włączenie silników, które skierują jego statek ku Ziemi.

Przesiadywał w sterowni, oglądał ziemski program telewizyjny i sprawdzał, sprawdzał nieustannie położenie strzałek na tarczach zegarów.

Pewnego dnia poczul wstrząs. Zapalił się ekran radaru, zadzwieczał dzwonek, który wzywał go do pulpitu. Na ekranie zielony promień oświetlał plamkę, niewyraźną plamkę, w której próżno dopatrywał się konturów. Określił jej koordynaty, włączył stabilizację i poszedł do obserwatorium, gdzie teleskopy czekały na niego w wielkiej hali bez ścian. Ustawił małą lunetę w kierunku

określonym przez radar i spojrzął w okular. Zobaczył statek. Podłużny, o niezwyklej kształtach, leciał bezwładnym lotem, z wyłączonymi silnikami. Jego pokrycie świeciło jaskrawym światłem. Gorączkowo zaczął naciskać guziki przeliczników, obliczył prędkość, kierunek lotu, potem połączył się ze sterownią i zażądał podania wzajemnego ruchu statków. Miały spotkać się za pół godziny. Wzywał tamtą raketę na falach radiowych, lecz ona milczała. Odległość zmniejszała się nieustannie. Im więcej rozróżniał szczegółów, tym bardziej czuł się zdziwiony. Rakietę nie pochodziła z Ziemi. Nigdy, na pewno nigdy na Ziemi nie budowano podobnych statków. Upewniając się o tym, odczuwał coraz większe podniecenie. Skierował wszystkie analityczne oczy swojej rakiety na obcy statek, na taśmach magnetycznych automaty zapisywały informacje o kształcie, torze lotu, prędkości, promieniowaniu obiektu. A on zbliżał się ciągle, już dobrze widoczny gołym okiem, srebrny i milczący. Najmniejsza odległość - sześć kilometrów. Tamten statek obracał się wokół swojej osi. Odsłonił brzuch, w którym otwierały się rzędy okien, „potem blachy pokrycia, jak wypukłe zwierciadło, aż ukazał się włącz. Kłapa włączu wydawała się niedokładnie domknięta. Wpatrzył się w nią uważniej i zauważył wysuwające się przez szparę, między krawędzią otworu a kłapą, rude, prężne łodygi.

Chciał - przedtem - skierować swój statek na tor zgodny z raketą Przybyszów, dostać się na jej pokład, odnaleźć pilotów, nawiązać kontakt. Ale teraz poczuł się zrezygnowany. Powrócił do sterowni i wyłączył radar.

W końcu przestał dowierzać systemowi alarmowemu. Postanowił przedostać się do stosu i osobiście sprawdzić jego działanie. Włożył kombinezon opancerzony ołowiem i zaczął schodzić szybem, łączącym część mieszkalną i silnikową. Ściany szybu wydawały się gładkie, ale kiedy przyglądał się im uważniej, zauważył maleńkie, rdzawe plamki, drobne jak kropki drukarskie. W miarę jak schodził niżej, ich ilość rosła. Jeszcze więcej było ich na ścianach korytarza, prowadzącego

do pomieszczenia, które przylegało bezpośrednio do pancernej osłony reaktora.

Przejsście zamykała okrągła kłapa, przytrzymywana sprężynowymi ryglami. Mocował się z zamkiem, czując nieokreślony niepokój. Wydawało mu się, że coś napiera od wewnątrz na kłapę, że wystarczy szpara, mały otwór, by spiętrzone za nią, niebezpieczeństwo rozprzestrzeniło się na cały statek i obaliło go, jak fala powodziowej wody. Opanował się z trudem. Z całej siły szarpnął dźwignię uwalniającą kłapę. Kłapa odskoczyła z głuchym dźwiękiem.

A wewnątrz rozgęstwił się las. Patrzył, oniemiały, na rdzawe gałęzie, prężne, gruzołowate, oplatające się w najeżony cierniami, brunatnoczerwony gąszcz. Potężnymi korzeniami wparły się w puszysty od mchu kadłub reaktora, rozgałęzione, potężne jak dęby, o chropowatych pniach i gładkich gałęziach drzewa z czerwonej rdzy. Ruda pleśń porosła ściany, okryła rury liczników Geigera, wpatrzonych w stos, zbiła się w kątach w porowatą masę, gdzie mech rósł na mchu dając podłoże następnej warstwie. Mikowe, płaskie liście, brunatne kielichy, rozwarte jak wieczorne kwiaty, pasożyty, ssące energię, pożerające powietrze u stal!

Cofał się z rozszerzonymi oczami.

- Zdrada - wyszeptał. - Zdrada.

Biegł korytarzami o zrudziałych ścianach, zamykał za sobą wszystkie drzwi, hermetyzował uszczelnienia, dociskał rygle. Zdyszany, ciągle w ołowianym skafandrze, gniotącym jego ramiona, znalazł się w bibliotece i dopiero w chwilę później spostrzegł, że wszedł w niewłaściwe drzwi. Spojrzał na półki, pełne, grubych tomów, ustawionych według nazwisk autorów, dociśniętych sprężynami, każdy na swoim miejscu. Zaczął przeglądać tytuły, przy tym zawadził ramieniem o jeden z tomów, który wysunął się ze swojej przegródki i poszybował ku podłodze. Upadł grzbietem i otworzył się. Podniósł książkę. Litera P. Pandora. Pansłowianizm. Panspermia. Hipoteza panspermii - wszechzapłodnienia. Opracowana przez laureata Nagrody Nobla, Svante Arrheniusa, przedstawiona w jego książce "Powstawanie światów". Sugerująca możliwość przenoszenia się życia we Wszechświecie dzięki ciśnieniu promieniowania z Praźródła bycia.

Mikroskopijne zarodniki spory, rozmiarów rzędu  $10^{-7}$  milimetra, mają dostatecznie wysoki stosunek powierzchni do objętości, aby ciśnienie światła wystarczyło do oderwania ich z powierzchni Ziemi. Gdy znajdą się w odpowiednich dla siebie warunkach, powracają do życia.

Przetrwalniki niektórych bakterii są wytrzymałe na niską temperaturę i promieniowanie kosmiczne, teoretycznie więc słuszność hipotezy panspermii jest możliwa.

Przez chwilę czuł się olśniony.

Rzeczywiście. Miniaturowe spory mogły przeniknąć do wnętrza jego statku. Może nawet sam je przyniósł na swoim skafandrze? Małe, niezauważalne, jak atomy, mogły rozpląnąć się z powietrzem po wszystkich kabinach, ucześcić się ścian, rozrastać się w rurach wentylatorów. Mogły dostać się wszędzie.

W przestrzeni, wokół jego statku, unosiły się te ziarenka, drobniejsze od pyłu kosmicznego, zmrożone kosmicznym chłodem, osiadały na panczeru rakiety, ale nie mogły rozwijać się w próżni - potrzebowały ciepła, łagodnego ciśnienia atmosfery i metalu. Dlaczego właśnie metalu? Może była to specyficzna forma życia, zrodzona w toku ewolucji, rozpoczętej wtedy, gdy w przestrzeni pojawiła się pierwsza rakietka? Widział przecież statek Przybyszów pożarty przez nie, być może nie był to jedyny, który z wygasłym stosem, z powietrzem w korytarzach pełnym rdzawego pyłu, krąży po orbicie wokół jądra Galaktyki razem z obłokiem zarodników, które nie zdołały dostać się do jego wnętrza. Może cała przestrzeń międzygwiazdowa, daleka od silnych pól grawitacyjnych, ściągających zarodniki ku planetom, jest zarażona, pełna miliardów miliardów krążących ziarenek, razem z życiem przynoszących śmierć?

Zawarczał dzwonek wzywający go do radiostacji. Nadeszła odpowiedź z Ziemi. Odczytał kilka słów, wydrukowanych na papierowej taśmie - pozwalali mu wracać. Z gorączkowym pośpiechem podbiegł do pulpitu, przypasał się do fotela i zaczął naciskać kolejne klawisze. Lampki zapalały się na wielkiej tablicy, dźwięczały brzęczyki, na okrągłych ekranach ;pojawiały się

zielonkawo świecące zygzaki wykresów.

Ale ostatnia lampka nie zapaliła się. Stukał w czerwony guzik rozruchu silników, widział drgania wskazówek przyrządów, prąd szedł, energia rosła zgodnie z krzywą rozruchu, ale silniki nie działały, nie odpowiadały czujniki. Zaczął bić pięścią w pulpit, krzyczał coś, przekrzykiwał ryk alarmowej syreny, która się odezwała, aż nagle uspokoił się i popatrzył na martwiejące tablice.

Wewnątrz statku kolejno gasły światła.

# ADAM JAROMIN

## KŁOPOTY WYNALAZCY

Hilary Myrron obudził się w środku nocy spocony jak mysz. Leżał przez kilka minut z szeroko otwartymi oczami szczęśliwy, że oto znów jest w swoim łóżku, w swoim przytulnym mieszkaniu i że tamto, co było przed chwilą, to tylko sen. Poruszył ręką, uszczypnął się. Tak, bez wątpienia, tamten koszmarny sen już minął.

Odwrócił się na drugi bok, nasunął na głowę kołdrę i mocno zacisnął powieki.

A teraz spać, jutro czeka go dużo pracy... Teraz liczyć barany, to pomaga.... Jeden baran, dwa barany, trzy barany, cztery barany, pięć baranów...

Ale sen nie przychodził. Myrron leniwie wstał, rzucił okiem na zegarek (była za pięć druga) i podszedł do okna. Na asfalt ulicy cicho padał drobny deszcz. Otworzył okno, zaczerpnął w płuca wilgotnego, orzeźwiającego powietrza - to podobno uspokaja i wrócił do łóżka. Przez chwilę zastanawiał się, czy unie zażyć tabletek nasennych, ale musiałby ich poszukać. Wygładził więc prześcieradło, a potem cierpliwie przez kilka minut układał się, jak mógł najwygodniej.

Cóż, kiedy wspomnienie snu sprzed chwili nie pozwalało mu zasnąć. A śniła mu się rzecz straszna: zdawał jakiś męczący, niezrozumiały egzamin, nie pojął ani jednego pytania, zwijał się ze strachu pod zimnym wzrokiem egzaminatorów, plótł jakieś głupstwa zamiast odpowiedzi i oczywiście, oblał. Czy to nie jest zły omen przed egzaminem, który czeka go jutro? Nie, już dziś, dziś rano... Będzie to egzamin ważniejszy od tych wszystkich, które dotychczas zdawał w szkole, na studiach, a i później... Egzamin z kilku lat wytężonej pracy. Bo kilka lat temu wszem wobec oświadczył, że można zbudować maszynę elektroniczną, do której pamięci da się przenieść całość informacji zmagazynowanych w mózgu ludzkim, i wtedy ta maszyna przejmie wszystkie funkcje ludzkiego mózgu. Ba! Nie będzie nawet wiedziała, że jest maszyną.

No, i zbudował taką maszynę. Nazwał ją zwyczajnie: Kontynuator. Dziś rano ma odbyć się



pierwsza próba: przeniesienie do pamięci Kontynuatora informacji z mózgu pewnego bardzo obiecującego studenta, który, niestety, miał tę wadę, że nigdy nie zwracał uwagi na kolor światła na skrzyżowaniu. Skutki tego okazały się bardzo opłakane, ale być może ów nieszczęsny student, którego cielesna powłoka spoczywa teraz w płynnym helu w podziemiu jednej z klinik, tym nieostrożnym krokiem przyczyni się pośrednio do postępu nauki. Dość tych rozmyślań. Trzeba koniecznie zasnąć. Nie myśleć o niczym, ułożyć się wygodnie i głęboko oddychać... Jeden baran, dwa barany...

Rano w czasie golenia Myrron przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze: twarz blada, policzki zapadnięte, podkrążone oczy. Nie wygląda nadzwyczajnie. Samopoczucie ma też nie najlepsze. Takie są skutki bezsenności. Jediną satysfakcją sprawia mu .to, że zbudował maszynę, której nie będą dręczyły nocne koszmary i która nie będzie cierpiała na bezsenność, chyba że się jedno albo drugie zaprogramuje, bo przecież będzie mogła wykonywać wszystkie prace, jakie wykonuje mózg człowieka. To uspokoiło Myrrona, a nawet wprawiło w dobry humor. Wyszedł z łazienki pogwizdując.

Za dwie dziewiąta przechodził przez hol Instytutu, gdzie pracował od kilkunastu lat. Ktoś, mijając go, uklonił się, ale w roztargnieniu Myrron nie zauważył tego. Poprawił machinalnie, odwinęty róg chodnika na schodach na pierwszym piętrze.

Przed drzwiami swego gabinetu długo szukał w kieszeniach klucza, aż nagle zobaczył, że przecież trzyma go w ręce. Uśmiechnął się gorzko. Z rozmachem otworzył drzwi, cisnął teczkę na biurko i opadł na fotel. "Co się ze mną dzieje? Ta trema, ta trema..." - pomyślał.

Na biurku leżała przygotowana przez sekretarkę kartka z rozkładem dnia. Od dziewiątej do pół do jedenastej kilka mało ważnych spraw: zadzwonić do Prezesa, podyktować list... , itd., itd. Punkt szósty: "10.30 - próby z Kontynuatorem" - sekretarka podkreśliła starannie, przy linijce, czerwonym ołówkiem. Myrron przez długą chwilę siedział patrząc bezmyślnie na ścianę

naprzeciwko. Potem zabębnił palcami po blacie biurka, przełożył z miejsca na miejsce jakąś książkę, poszukał długopisu i czerwoną kreskę przerobił na ramkę. Przez dobrych kilka minut ozdabiał ją starannie wianuszkami z liści laurowych.

Cicho uchyliły się drzwi, Myrron, speszony, że przyłapano go na tak głupiej czynności, zaczerwienił się i szybko schował kartkę. Weszła sekretarka. Była uroczysta jak nigdy. Wiadomo: taki dzień!

- Jakiś dziennikarz pyta, czy zechce pan udzielić wywiadu - oznajmiła głosem równie uroczystym, jak ona sama.

Myrron skrzywił się.

- Dziennikarz? Wolałbym potem.

- Ale on mówi, że bardzo mu zależy...

Nie dokończyła, zachwiała się odsunięta czyjś ramieniem, a do pokoju wkroczył cokolwiek bezceremonialnie mężczyzna lat około dwudziestu pięciu.

- Mam zaszczyt z profesorem Myrronem, czy tak? - spytał głosem, który znamionował jednak ślady dobrego, wychowania. - Nie jestem profesorem - odpowiedział Myrron, patrząc na niego przygaszonym wzrokiem człowieka, który zasnął dopiero o piątej rano. - Słucham pana.

- Nazywam się... - .tu młody człowiek wymienił nazwisko jestem reporterem... - ku wymienił nazwę pewnego bardzo popularnego dziennika - i pragnąłbym przeprowadzić z panem mały wywiad.

- No cóż, skoro pan już tu jest, proszę siadać.

Sekretarka, wychodząc, spiorunowała przybysza spojrzeniem, które gdyby tylko takie rzeczy były możliwe, powinno go spopielić w ułamku sekundy.

- Dziś przeżywa pan doniosłą chwilę w swym życiu - zaczął dziennikarz.

Myrron kiwnął obojętnie głową.

- Pierwszy eksperyment z urządzeniem, któremu poświęcił pan kilka lat pracy...

- A skąd dowiedział się pan, że to właśnie dziś? - zainteresował się nagle Myrron.

Za całą odpowiedź jego rozmówca uśmiechnął się tylko skromnie i ciągnął dalej:

- Czy zechciałby pan wyjaśnić w kilku słowach naszym czytelnikom, co to jest Kontynuator?

- Hmm - mruknął Myrron i zastanowił się. - Jak to panu wytłumaczyć? Jest to po prostu bardzo skomplikowany komputer, bardziej skomplikowany niż mózg ludzki. Jeśli do jego pamięci przeniesiemy wszystkie informacje zawarte w mózgu ludzkim, komputer ten zastąpi nam człowieka w jego czynnościach umysłowych.

- Tak, to bardzo proste. Ale jaki jest cel tego wszystkiego?

- Człowiek jest istotą śmiertelną. Ile lat może pracować uczony, artysta? Czterdzieści, najwyżej pięćdziesiąt. A maszyna jest, praktycznie biorąc, nieśmiertelna, bo każdy jej zużyty element można przecież wymienić. Poza tym pracuje szybciej. To, na co potrzeba całego ludzkiego życia, maszyna może wykonać w ciągu kilku tygodni. Mówiłem, że jest to układ bardziej skomplikowany niż mózg ludzki. I dlatego do jego pamięci będzie można przenieść zapisy nawet kilku mózgów. Będzie można dodawać osobowości !

- Rozumiem. Człowiek doskonały, czy tak? Bo jeśli połączymy genialnego artystę, genialnego uczonego i genialnego wynalazcę, otrzymamy człowieka doskonałego, prawda?

- Mniej więcej. Ale będziemy musieli najpierw zbadać, co z takiego dodawania wyjdzie.

- A czy nie uważa pan, że skoro ta maszyna będzie doskonalsza od człowieka, człowiek stanie się niepotrzebny?

- Nie, nie ! - zaprotestował energicznie Myrron. - Ona wyręczy człowieka tylko tam, gdzie nie sięgają jego możliwości. - Jeszcze jedna rzecz mnie interesuje. W tej chwili widzę pana, widzę ulicę za oknem, słyszę pańskie słowa. Odbieram też wrażenia smakowe, węchowe, dotykowe. A w jaki sposób ta maszyna będzie odbierała wszystkie te wrażenia? Czy zaopatrzył ją pan w elektroniczny nos i elektroniczny język?

- Nie. Kontynuator nie ma żadnego. kontaktu ze światem zewnętrznym. Do wejść maszyny, które pełnią funkcję jego zmysłów, dołączyliśmy fantomaty. Jeden z nich dostarcza informacji z zakresu wrażeń wzrokowych, drugi - słuchowych, trzeci - zmysłu równowagi, i tak dalej.
- Kontynuator może więc wąchać kwiaty, słuchać muzyki, oglądać piękny zachód słońca. Żyje jednak w świecie sztucznym, stworzonym przez nas. Świat ten może być kopią naszego, ale może być też światem, który nie ma swego odpowiednika w rzeczywistości.
- Tak, to bardzo ciekawe. A czy Kontynuator będzie wiedział, że nie jest człowiekiem?
- To zależy tylko od nas, ekipy kierującej. Sam nie dowie się nigdy. A zresztą Kontynuator jest przecież w pewnym sensie człowiekiem.
- A czy może, jak każdy człowiek, kierować swoim postępowaniem?
- Oczywiście, młody człowieku - Myrron pokręcił głową na taką ignorancję. - Jeśli na przykład zechce wyjechać do innego miasta, to nic prostszego. Fantomaty, którymi, mówiąc nawiasem, kieruje specjalny komputer, dostarczają jego "zmysłom" wrażeń, że idzie na dworzec, kupuje bilet, wsiada do pociągu, jedzie, widzi, co dzieje się za oknem... Między Kontynuatorem i fantomatami istnieje sprzężenie zwrotne. Czy to, co mówię, nie jest dla pana zbyt trudne?
- Nie, jasne jak słońce. A kto za pomocą fantomatów stwarza "życiorys" Kontynuatora?
- My. Mamy specjalną krupę, która układa scenariusz życia Kontynuatora.
- To na pewno wymaga olbrzymiej pracy.
- Mamy do pomocy maszyny. I mamy czas. Zawsze można wyłączyć Kontynuator i zastanowić się, jak ułożyć jego dalsze "życie".
- A czy można skasować cały zapis i wprowadzić informacje z mózgu innego człowieka?
- Nic prostszego - powiedział z niejakim zniecierpliwieniem Myrron. - Na głównym pulpicie sterowniczym jest taki guzik... Zadzwoił telefon.
- Przepraszam pana - powiedział Myrron i podniósł słuchawkę.

- Słucham !

- Myrron? Przed chwilą dzwoniła do nas klinika...

- To ty, Trelley ?

- Tak, ja. Rodzina tego zmarłego studenta nagle wycofała swoją zgodę. A klinika nie ma w tej chwili innych zwłok w stanie hibernacji. I co teraz zrobimy?

Myrron zmarszczył czoło.

- Skontaktujcie się z innymi klinikami. Ja połączę się z Prezesem, może on nam pomoże.

Zresztą, zejdę do was, może coś wymyślimy.

Odłożył słuchawkę.

- Muszę pana pożegnać - powiedział do dziennikarza. Dzwonił jeden z moich współpracowników. Zaszły nieprzewidziane trudności.

Dziennikarz pochylił się nad notesem i skwapliwie bo zanotował.

- A czy wolno wiedzieć, na czym te trudności polegają?

- Do pierwszych eksperymentów nie będziemy używać żywych ludzi, ale zwłok w stanie hibernacji, dla ostrożności. I nagle okazało się, że nie mamy skąd tych zwłok wziąć. Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na czyjąś śmierć, najlepiej jakiegoś naukowca. Nie, nie. Tego proszę nie notować, to tylko żart. Przepraszam, że pana opuszczam, ale bardzo się śpieszę.

Myrron otworzył drzwi do pokoju sekretarki. Na jego widok uśmiechnęła się promiennie.

- Pan już wychodzi? Życzę sukcesu, życzę sukcesu!

- Telefony do mnie proszę przełączać na dyspozytornię Kontynuatora.

- Dobrze. Trzymam za pana kciuki !

Drugi raz w tym dniu Myrron uśmiechnął się. Powiedział nawet komplement:

- Pani jest... jedyna w swoim rodzaju. Sekretarka zaczerwieniła się.

A Myrron już kroczył szparko korytarzem. Tego, co stało się w chwilę później, nie

zapamiętał. A wyglądało to tak: Kiedy był już przy schodach, kiedy dotykał ręką poręczy, potknął się o róg chodnika - znów odwinięty. Próbował uchwycić się poręczy, przez ułamek sekundy zawisł na niej i - runął schodami w dół. Głową naprzód...

...Ocknął się w niedużym, białym pokoju. Wielkie okno do połowy zasłonięte, stolik, umywalka z lustrem, na wieszaku gruby szlafrok w pasy, słowem - szpital.

Był sam. Olsza, spokój, chwiejące się na wietrze gałęzie drzew za oknem. Próbował unieść się, ale zaraz jęknął z bólu i znów opadł na poduszkę.

Drzwi za Trelleyem, Grappinem a Rohrem zamknęły się. Wychodząc każdy z nich rzucał Myrronowi spojrzenie, w którym można było wyczytać współczucie i otuchę. Słyszał ich oddalające się kroki na korytarzu, ich dyskretne, przyciszone głosy. Na stoliku zostały róże i kilka książek, o które prosił.

Znów został sam. Leży tu dopiero drugi dzień, a ma wrażenie, że od wczorajszego poranka upłynął rok. I pomyśleć, że czeka go na pewno jeszcze kilka takich pustych i monottonnych dni.

Podobno lekarze podejrzewają, że uległ poważnemu, ale ukrytemu urazowi głowy. Ładna historia! Chwila nieuwagi i takie skutki... Na samą myśl, że musi tu leżeć beczynnie, przykuty do łóżka, robi mu się gorąco. Tak, najgorszym uczuciem jest bezsilność.

Ale czy warto patrzeć na to tak czarno? Cóż to da, czy to w czymś pomoże? Ma przed sobą kilka dni spokoju i samotności. Teraz, kiedy wszystkie prace przygotowawcze są już za nim, a pozostała tylko seria prób, na całą sprawę Kontynuatora można spojrzeć z pewnego dystansu. Bo cóż, w ciągu wieloletniej pracy nad Kontynuatorem nie zawsze miał przed oczami cel, do którego zdążał. Rozpraszały go sprawy techniczne, drobne problemy, które podsuwał każdy dzień. A tu potrzeba spojrzenia szerszego, z góry. Teraz ma okazję ku temu. Los nie jest aż tak złośliwy, jak wydawało mu się przed chwilą. Może wypadek na schodach to uśmiech losu? Bo wyobraźmy sobie taką sytuację: tu, w szpitalu, uprzytamnia sobie nagle, że w czasie budowy Kontynuatora coś

przeoczono, że zakradł się błąd...

A może to nie los (ślepy traf, przypadek, mniejsza o nazwę) był przyczyną wypadku? Może to podświadomość? Przecież tyle razy pragnął, choć wstydził się do tego przyznać, by zapis jego mózgu został przetransponowany do Kontynuatora. I teraz proszę! Podświadomość wyświadczyła mu przysługę. Spadł ze schodów, bo tego podświadomie pragnął. Chciał umrzeć, zginąć, by jego zwłoki posłużyły do pierwszego eksperymentu. Takie rzeczy są możliwe, każdy psycholog to potwierdzi. Czy z tego wynika, że teraz jest Kontynuatorem...?

Myrron roześmiał się. Powiedział nawet głośno:

- Dobrze sobie, słowo daję.

To wprawiło go w tak wysmienity humor, że naraz, zupełnie dla siebie nieoczekiwanie, poczuł się szczęśliwy.

Świetnie się czuje. Myśli są jasne, płyną swobodnie. Ta dowcipna teoria, którą przed chwilą wysunął, dowodzi, że ma jeszcze wyobraźnię, że pochłaniająca go przez lata całe mrówcza praca nie przytępiła umysłowych możliwości.

A gdyby naprawdę był Kontynuatorem? To nagle, cudowne samopoczucie jest trochę podejrzane. Wydaje się być nieludzkie! Zaraz, zaraz. To wcale niezła rozrywka umysłowa. Załóżmy, że jest Kontynuatorem. Czy potrafi udowodnić sobie, że to nieprawda?

Nagle drzwi uchyliły się bezszelestnie i do pokoju weszła pielęgniarka - drobna, siwiuteńka, z przyklejonym do twarzy cokolwiek służbowym uśmiechem.

- Jak się czujemy? Czy czegoś nam nie trzeba? - spytała uprzejmie i bezosobowo.

- Nie, dziękuję.

- Wydawało mi Się, że pan mnie wzywał.

- Nie, nie wzywałem, dziękuję.

- Nie nudzi się panu? Nie ogląda pan telewizji? - Ruchem głowy wskazała na telewizor

stojący pod ścianą. - Mamy w naszej szpitalnej taśmotece kasety z ciekawymi filmami. Nie interesuje to pana?

- Nie, nie interesuje.

- Może ma pan ochotę na parę minut, rozmowy? Niektórzy nasi pacjenci proszą, żebym z nimi posiedziała.

- Niech pani zajmie się swoimi sprawami.

- Ależ to są właśnie moje sprawy.

- Proszę stąd wyjść!

- Proszę pana! - W jej głosie brzmiało bezgraniczne zgorzzenie.

- Tak, wyjść!!!

Wyszła. Przez długą chwilę Myrron oddychał ciężko...

Co za personel! Pomówi o tym z dyrektorem szpitala. I to zaraz! Nacisnął guzik dzwonka.

Drzwi otwarły się nieoczekiwanie szybko. Stała w nich pielęgniarka, ale tym razem inna.

- Słucham, pan po mnie dzwonił?

- Chciałbym pomówić z dyrektorem szpitala. Wyglądała na zaskoczoną.

- Pana dyrektora nie ma w tej chwili w szpitalu. Będzie dopiero po południu. Czy to coś pilnego? Może poproszę kogoś innego. Na przykład doktora...

- Nie. Chcę z dyrektorem.

- Proszę bardzo. Skoro tylko przyjdzie, powiadomię go o tym. Czy to wszystko ?

- Tak, wszystko. Dziękuję.

Kiedy po kilku minutach ochłonał, zaczął żałować swego postępowania. Musi jednak przeprosić tamtą pielęgniarkę. Po wyjściu ze szpitala kupi jej kwiaty. A może jakiś prezent?

Niepotrzebnie narzucała swoje towarzystwo, ale przecież chciała jak najlepiej.

Szkoda czasu na wyrzuty sumienia. A więc, co przemawia za tym, że jest maszyną? Miał



wyjątkowo dobre, podejrzanie dobre samopoczucie przed kilkanaście minutami, dopóki nie zdenerwowała go pielęgniarka. Dobre samopoczucie to poszlaka numer jeden... A złe samopoczucie? A złe samopoczucie po tym niepotrzebnym incydencie z pielęgniarką... to poszlaka druga! Oni, przy pulpicie sterującym, spostrzegli, że on zastanawia się nad czymś. Bo przecież to, co dostarczają fantomaty, "zmysłom" Kontynuatora, jest pokazywane na ekranie specjalnego monitora. Usłyszeli nawet, co powiedział głośno do siebie. Zaraz, co powiedział? Powiedział: "Ładny koniec, nie ma co". Tak, te słowa mogły wzbudzić ich podejrzenia. Nie, powiedział chyba coś innego?...

Mniejsza z tym. Oni po prostu boją się, że on wszystkiego się domyśla, i dlatego fantomaty podrzuciły tę pielęgniarkę, żeby przeszkodzić mu w rozmyślaniach.

Drzwi uchyliły się. Stała w nich pielęgniarka, ta druga. - Jest już dyrektor. Czy mam go poprosić?

- Nie, dziękuję - odparł Myrron zły, że mu przeszkadzają. Stała jeszcze przez chwilę w drzwiach. Potem, jakby ociągając się, wyszła.

Proszę bardzo! Jednak miał rację. Oczywiście, wejście pielęgniarki można traktować jako przypadek. Ale jeśli on jest Kontynuatorem, to nie jest przypadek, to dla nich konieczność. Dworak, szef sekcji fantomatów, to tęga głowa. Potrafi zainscenizować sytuacje tak prawdopodobne, tak nie wzbudzające podejrzeń, że sam diabeł (gdyby go przetransponować na Kontynuator) niczego by się nie domyślał. On, Myrron, widzi oczami wyobraźni, jak Dworak siedzi za swoim pulpitem i wykrzykuje do pozostałych ze złośliwym błyskiem w oczach: "Już ja staremu podsunę taką historyjkę, że się z niej nigdy nie wypłacze!" Dworak jest poza tym cenionym autorem scenariuszy telewizyjnych... A więc pielęgniarka to poszlaka numer dwa.

Co jeszcze wskazuje na to, że on, Myrron, jest maszyną? Kiedyś powiedział - ot tak, mimochodem - że zazdrości pierwszemu nieboszczykowi, którego użyje się do prób z Kontynuatorem. To przecież pierwszy wypadek w historii, że ktoś dopiero po swojej śmierci

zdobędzie tytuł do sławy. Komu to powiedział? Aha, Trelleyowi. Po wypadku na schodach (przy założeniu, że był śmiertelny) Trelley potraktował tamte słowa jako wyraźne życzenie, jaka ostatnią wolę!

Z tego wynika., że jest już po jego śmierci?

To, co w tym momencie poczuł, to było zimne mrowienie, które przebiegło mu wzdłuż pleców.

Jeśli jest już po jego śmierci, wybrano wyjście lepsze. Ciekawe, czy już po pogrzebie? A może jego zwłoki spoczywają teraz w trumnie w sali kolumnowej Akademii? Przy trumnie warta honorowa, przyćmione światła, kwiaty i tłumy tych, co przyszli złożyć mu ostatni hołd.

Może po prostu spytać głośno tamtych, przy pulpicie: "Hej, wy, czy już po moim pogrzebie?"

Dobre, co?

Przeciągnął się, na ile pozwalało mu na to złamane żebro. -bycie jest jednak piękne. Leży oto w łóżku, oddaje się medytacjom, nic mu nie przeszkadza, nic go nie krępuje. Wytęskniony spokój. A za oknem piękna pogoda.

Uśmiechnął się do siebie, do słońca za oknem, do drzew w szpitalnym parku. Nawet pielęgniarka wydała mu się teraz miłą, kochaną staruszką.

Ale wracając do pogrzebu... Jeśli pogrzeb nie odbył się jeszcze, mógłby zaproponować im, że nad własnym grobem wygłosi mowę pogrzebową. Na przykład o wyższości ludzkiego ducha nad kruchym, słabym ciałem. He, he, he!

Tyle więc poszlak przemawia za tym, że jest Kontynuatorem. A jakie ma dowody, że nim nie jest? Jakie ma dowody, że jest w tej chwili, zwyczajnym, żywym człowiekiem?

Nie ma żadnego dowodu. Smutnie, ale prawdziwe. Wszystkie wrażenia zewnętrzne, wszystkie informacje o funkcjonowaniu własnego organizmu, myśli wreszcie to są także normalne funkcje Kontynuatora.

Czy nie ma jednak sposobu, aby upewnić się, kim jest naprawdę?... Jest taki sposób, jest. Jeśli powie głośno: "Wiem, że jestem Kontynuatorem" i... nic się nie stanie, będzie to znaczyło, że jest człowiekiem. Jeśli zaś jest Kontynuatorem, oni usłyszą jego głos, stwierdzą, że eksperyment się nie udał, i skasują zapis jego mózgu. Kontynuator znów będzie pusty, czysty jak nowo kupiona taśma magnetofonowa.

Może jednak nie będą tak okrutni? Może przez szacunek dla niego, swego byłego szefa, nie skasują zapisu. Może pozostawią go przy życiu? Bo to jest też życie.

Wyjął z flakonu różę i zbliżył do oczu. Jeśli Kontynuator potrafi zachwycać się pięknem, jak w tej chwili on, to zaiste nie zbudowano dotychczas doskonalszej maszyny. Ma z czego być dumny.

Włożył kwiat do flakonu.

A teraz zrobi ten mały eksperyment. Będzie to ukoronowanie miłych rozmyślań, którym poświęcił całe popołudnie. Powie: "Wiem, że jestem Kontynuatorem".

- Wiem...

Nie do wiary! Po prostu boi się, boi się, że go skasują? Wierzy w to, że jest , maszyną?

Przecież to absurd?

- Wiem...

Musi powiedzieć te słowa. Nie może do końca życia pozostawać w tej straszliwej niepewności, kim jest.

- Wiem...

Takie powtarzanie jednego słowa może być dla nich podejrzane. Trzeba to jakaś zakończyć, nadać temu jakiś sens.

I wtedy, nieoczekiwanie dla siebie, Myrron powiedział głośno:

- Wiem... że nic nie wiem.